Nr 12. Warszawa, dnia 23 (11) Marca 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Prenumeratorom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

OPERETKA W POLITYCE.

Hiszpania była do tej chwili, jak ongi uczciwa kobieta: nic o niej nie mówiono — nie było co mówić. Zapomniano już nawet o słynnych *Cosas de España.* Król, przebywszy ósmy rok życia, spokojnie zbliżał się do dziewiątego, pomimo wątłości był zdrów i zaczynał się dobrze uczyć, ciesząc serca poddanych swoich, a rozkoszą przejmując serce macierzyńskie, które już o mało co go nie utraciło, gdy był jeszcze maleńkim. Rządy kraju sprawowała nominalnie królowa-regentka, Marya Krystyna, arcyksiężniczka austryacka, rzeczywiście — Canovas lub Sagasta, podobnie jak w Grecyi Trikupis i Delyanis, wzajem zmieniający po sobie wartę. Były kłopoty, jak wszędzie, były i sprawy i spory i starcia, ale wobec tradycyj hiszpańskich w chwili obecnej mógł półwysep uchodzić za szczęśliwy. Naród przyzwyczaił się do małego króla; widmo polityki generalskiej pierzchło. Nie było pretendenta lepszego od syna Alfonsa XII. Dynastya ma słaby rozrost; w linii starszej, karlistowskiej, wygasły już nawet nadzieje jako tako rozsądne: jest jeszcze Don Carlos, aż o dziesięciu imionach, ale nie ma już może dziesięciu karlistów, którzyby chcieli zrobić porządne *pronunciamento.* Zbankrutował i republikanizm. Taki Castelar przystał do systemu panującego, Zorilla w Paryżu, Pi-y-margaliści rozproszeni. Tylko anarchizm i socyalizm czasem podnosił głowę.

Niespodziewanie stało się coś, o czem już mówić potrzeba, nie będąc hiszpanem, coś wyłącznie hiszpańskiego. Politykę zaczęło robić uczucie honoru. Honor był wojskowy i polityka stała się też odrazu generalską. Zamiast pojedynku, lub całego szeregu pojedynków—przesilenie w rządzie. Wojsko hiszpańskie przez cały wiek XIX-y było potężnym czynnikiem w przewrotach państwa i w losach narodu. Pronunciamenta zwalały lub osadzały panujących, wzniecały wojny domowe, strącały ministrów, zaprowadzały na całe lata pewne porządki, upragnione dla garstki, a dotkliwe dla całości. Za drugiej rzeczpospolitej, w epoce 1868—1874 r., generał Martinez Campos siłą oręża przywrócił na tron młodszą linię Burbonów, wprowadzoną wbrew prawom dynastycznym w r. 1830; jemu to syn Izabelli, Alfons XII, miał do zawdzięczenia swą koronę. Campos czuwał nad bezpieczeństwem osoby i panowania młodego króla, był jego opiekunem, zbrojnym w grozę buntu wojskowego. Po śmierci ojca opieką swą ogarnął niemowlę, które dopiero przyjść miało na świat, ale czuwał w cichości, bez krzyku, bez marszałkowskiej laski. Opiekuństwo wyjrzało teraz dopiero groźniej, gdy obrażony honor wojskowy potrzebował nasycić się aż upadkiem ministrów. Bez rozlewu krwi zrobił Campos nowe *pronunciamento.*

Hiszpania wdzięczną mu jeszcze być powinna, że krwi nie przelał, gdy chodziło o obronę honoru obrażonych oficerów. Zaczepiła ich gazeta *El globo.* Z powodu opieszałości, z jaką zgłaszali się do wyjazdu na Kubę, gdzie śmierć może w oczy zajrzeć, dała im cięgi surowem publicystycznem słowem. Poparły ją inne dzienniki. Zebrała się w oka mgnieniu gromada trzystu oficerów i ci redakcyę *Globa* i kilku innych gazet zniszczyli lepiej, niżby tego dokonał najlichszy motłoch; zwłaszcza w *Globie* gospodarowali, jak wandale. Sagasta chciał wytoczyć proces; ale minister wojny w kongresie oświadczył, że ten wypadek jest wyjątkowym i że armia nie pozwoli na bezczeszczenie jej oficerów; gwałt zaciera obrazę. Dziennikarze wyszli ze swej loży; stał się rozruch na ławkach ministeryalnych i w Izbie. Minister śmiało zrywał z kolegami, bo miał już porozumienie z Martinezem Camposem. Wymiarowi sprawiedliwości stawał na przeszkodzie naganny nieład prawodawstwa: kodeks wojskowy oddaje sądom wojennym sprawy obrazy honoru wojskowego; kodeks zaś powszechny nie uznaje żadnych wyjątków i zna w podobnych wypadkach jedno tylko sądownictwo—cywilne, wspólne dla całego narodu.

Wobec istniejącej już zmowy taka sprzeczność utrudniła jeszcze położenie ministrów cywilnych. Z niepewności wybawił ich Campos; kiedy radzili nad tem, co robić, wszedł między nich i samem symbolicznem zjawieniem się swojem powiedział im, że już nie mają co robić. Sagasta d. 16 b. m. podał się do dymisyi i odrazu ją otrzymał. Królowa powołała opiekuna dynastyi na prezesa rządu, ale Campos wolał, ważniejsze w Hiszpanii podczas burz większych czy mniejszych, stanowisko generał-kapitana Madrytu i to stanowisko też zajął. Teraz, oparty o armię, może wytwarzać rządy, jakie zechce. Prawdopodobnie powoła Canovasa, który nie przestał być i w najnowszym okresie Sagasty mężem zaufania dworu. Kto wie nawet, czy królowa-regentka nie uległa namowom zachowawczego polityka i radom Camposa i nie skorzystała ze sposobności, aby się pozbyć ministrów liberalnych. Do południa 19-go b. m. przesilenie jeszcze trwa-

ło. Srodze pokrzywdzone dziennikarstwo starało się znaleźć dla siebie oparcie w opinii stolicy, a za nią i całego kraju; deputacya zapowiedziała ministrowi spraw wewnętrznych, że dzienniki przestaną wychodzić, jeżeli rząd nie poręczy swobody prasy oraz bezpieczeństwa redakcyj i redaktorów. Po drugiej stronie znowu zebrało się już teraz nie 300, ale 1,000 oficerów i ci mają kolejno wyzywać na pojedynki wszystkich „gazeciarzy.“ Jeżeli już chodziło im koniecznie o zrobienie czegoś potwornego — od takiego pojedynku zacząć byli powinni. A tymczasem wandale w mundurach armii hiszpańskiej chodzą bezkarni i, pobrzękując szablami, drwią z prawa.

Z NIEMIEC.

Berlin, 15 marca.

Rada stanu i projekt hr. Kanitza.

Drobiny życia wyrastają niekiedy na wypadki doniosłe; nietylko w bajce mysz bywa silniejsza od lwa. „Warunki“ — historyczne i psychologiczne tworzą takie cuda. Z ich racyi zero zostaje bohaterem, a jak gdyby niewidzialnie zarysowują się szeregi cyfr przed niem, nadające mu dopiero znaczenie, stanowisko, imię. Historyk niemiecki temi słowy chyba zacznie swą odpowiedź na pytanie, co znaczy wogóle i obecnie pruska rada stanu? Jeżeli odpowiadać będzie teoretycznie z kodeksem ustaw państwowych w ręce — to zawoła: nic nie znaczy. Jej postanowienia nie obowiązują zupełnie państwa niemieckiego; była ona zawsze instytucyą doradczą królów pruskich i jeżeli głos jej był słuchanym, to tylko podczas przewagi biurokracyi pruskiej. Przez tę epokę (od r. 1840—1848) przechodzi szereg panowań. Wtedy nie czynił rząd żadnego kroku, nie wydawał ważnych postanowień, zanim nie zapytał o zdanie rady stanu. Tamześrodkowywały się wszystkie tradycye świetnej biurokracyi; ona bowiem sprawowała rządy pruskie za pośrednictwem rady stanu. Powiedziano kiedyś, że monarcha konstytucyjny dorabia zaledwie kropki nad *i*. Fryderyk Wilhelm III był już wtedy takim monarchą, z tą drobną różnicą, że danej litery nie wypisywał żaden parlament, jeno rada stanu. Aliści zmieniają się czasy. Po roku 1848 sądzono przez lat kilka, że wogóle nie ma rady stanu. Potem zorganizowano ją wprawdzie, ale nie zwoływano. Jeżeli zaś przerywano tę bezczynność od czasu do czasu, to jasnem było, że się charakter tej instytucyi zmienił doszczętnie. Nie mieści już w sobie kwiatu biurokracyi: ludzie „prywatni,“ rzeczoznawcy umieli łamać dawniej niezwyciężone zapory i odzywać się śród zatabaczonych pedantów. Rada stanu traciła jednak z każdym rokiem racyę bytu: ks. Bismark miał zawsze na pogotowiu głos doradczy którejkolwiek instytucyi specyalnej: rady rolniczej, Izb przemysłowych itd., i te głosy wystarczały zupełnie kanclerzowi na potrzeby polityki bieżącej.

Jeżeli więc w chwili obecnej na sesyę rady stanu zwrócone są oczy całego narodu niemieckiego, jeżeli wszystkie stronnictwa parlamentarne w jednakim stopniu są zaniepokojone jej postanowieniami, to muszą być po temu nader ważne przyczyny. Większość parlamentarna jest w chwili dzisiejszej zdolna do nader ryzykownych kroków. Przeważna liczba — 210 deputowanych — zgodziła się na petycyę bimetaliczną, a więc zażądano zniesienia waluty złotej; większość godzi się na nieodnowienie traktatów handlowych, albo nawet na ich zerwanie; żąda monopolów na zboże, spirytus i cukier, chce obostrzeń w organizacyi cechowej, ceł wwozowych, nawet profesorów ująć w kagańce. Część jedna parlamentu gotowa jest do takich skoków, bez względu na rozkaz rządu (stronnictwa konserwatywne); druga czeka wskazówek z góry. Obie zaś w sumie tworzą większość. Niedawno przyszła na stół parlamentarny sprawa bimetalizmu. Dawniej odrzucano takie projekty do kosza; były atoli wskazówki sympatyczne z góry i znalazła się większość w parlamencie. Oto właśnie, dlaczego i postanowienia rady stanu, teoretycznie tak nieważne, mogą się stać rozkazami: rząd może przyjąć i przyjmie pewnie wszystko, co ona postanowi. A jeśli rząd wprowadzi te projekty do parlamentu, przejdą niewątpliwie. I dlatego też obraz rozpraw rady stanu, zwołanej na 12 marca, jest tak ciekawym i ponętnym. Gazety prawie o niczem innem nie mówią, rozwinęły czujność wielką. Tymczasem znamy tylko program obrad, w których znajduje się projekt hr. Kanitza, ale co ważniejsza, usłyszeliśmy tekst mowy, którą cesarz Wilhelm otworzył pierwszy dzień posiedzeń. Główne jej ustępy brzmią: „Uznałem za obowiązek mego rządu znaleźć środki i drogi, wiodące do podniesienia wydajności ziemi i odwrócenia niebezpieczeństw, grożących mojej ludności rolniczej. Im liczniejsze są projekty tych dróg i środków, z tem większą starannością i gruntownością należy przystąpić do ich oceny...“ W tym celu, jak zaznacza monarcha niemiecki, zwołano radę stanu. „Obiecuję sobie, jako rezultat tych obrad, że sprzeczne poglądy na to, co w danej dziedzinie jest możliwem, będą przekształcone z nadaniem większej jasności i że ja i rząd otrzymamy, dzięki tym obradom, podstawy dla naszych postanowień. Będę zadowolony, jeżeli z tego źródła projekty ujawnią łatwość ich wykonania, jeżeli wasze obrady będą miały na celu zmniejszenie ciężarów własności ziemskiej *bez szkody interesów innych i z poszanowaniem istniejących zobowiązań traktatowych.*“ Wyrazy podkreślone są bardzo znamienne. Dostrajają się one do mowy cesarskiej na bankiecie brandenburczyków, jak również do owych słów, wobec których zatrząsł się w strachu śmiertelnym hr. Manteuffel: „Nie chcę, aby chleb dla moich biednych poddanych jeszcze był droższym.“ Wreszcie słowa te przypominają fakt dymisyi hr. Stolberga, który podpisał cyrograf agrarczyków. Po przemówieniu cesarskiem zawołano: „Podnieśmy ceny zboża, aby chleb nie podrożał.“ Jest to dobra rada — w warunkach dzisiejszej produkcyi — godna pisma humorystycznego. Wprawdzie już Portia Shakespeare'a kazała Shylockowi wycinać swą należność z ciała dłużnika bez przelewu kropli krwi. Wiadomo jednak, że Shylock wobec takiego sądu sprawę przegrał...

Przejdźmy do hr. Kanitza. Sam wobec powagi cesarskiej mógł bronić swego planu. Jest on w najlepszym razie fanatykiem — ignorancyi. Najpierw żąda zakupu zboża według cen najmniejszych: dla pszenicy 215 marek, dla żyta 165 za tonnę. Jeżeli porównamy te cyfry z cenami rynku berlińskiego, to nadwyżka dla pszenicy będzie 76 marek, dla żyta 47 m. na tonnie. Obecnie atoli bardzo prędko zmienił plan

---

1)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ DRUGA.

MORONOWIE.

Widok 1.

Tu, jak gdyby skóra ziemi zielonym włosem bujnie porosła, a dalej, jak gdyby całkiem wyleniała, pokryta jedynie rzadkiemi kępami żółtej szerści. Tu rozległy płat pastwisk, tam szara mąka skał zwietrzałych. Śród bezbrzeża piasku, niby kwiat życia na łonie śmierci, rozpostarł się po obu krawędziach szerokiej rzeki step gęsto trawą wełnisty. Na zachodniej jego stronie ułożył się łańcuch gór, jak gromada garbatych wielbłądów po długim i mozolnym pochodzie w pustyni. Nad niemi unosił się niby para ciał strudzonych przejrzysty i lotny obłok. Gdy wieczorem mgła na ich grzbietach spoczęła i chmurami jak jukami je obwiesiła, zdawało się, że powstaną i pójdą w drogę. A gdy wiatr znowu te kłęby z nich zdarł i błękit nieba nad niemi rozpiął, leżały senne i nieruchome.

U podnóża tych gór usiadły namioty ludu pasterskiego Wirów, który po długiej tułaczce tu zapadł i w stepie trzody swe pasał. Wszyscy starsi jego synowie zebrali się na jednem z dwu ostro wypukłych pagórków obszernej wyniosłości, która wschodnim bokiem tworzyła ścianę rzeki, a zachodnim — próg wysokiej góry, otwierającej swe wnętrze długim, skalistym wąwozem do groty, gdzie stał ołtarz i dokąd dla wysłuchania modłów arcykapłana przybywał bóg Wirów. Lud szczelnie objął niższe kręgi pagórka, na którego pustym wierzchołku leżało pięć wielkich głazów.

Głosy.

Kapłani już skończyli swe modły i wracają; pozostał tylko sam na sam z bogiem w świątyni Moron.

— Straszna to rozmowa!

— Powiadają, że bóg schodzi do niego owinięty płomieniem, w oczach ma dwa słońca, a usta jego huczą grzmotami.

— Widziałeś?

— Napisano w zakonie.

— Wcale nie napisano, bo w dwunastu glinianych tablicach, które arcykapłan każdej pełni odczytuje ludowi, tego nie ma. Umiem je na pamięć.

— Ale w innych jest.

— Kto tam wie, czy są inne!..

— Nie bluźnij starszym, bo ci język osinieje.

— On i wam osinieje niedługo z głodu..

— O tak, skwar pastwiska wysmalił, zaraza owce dusi, węże krowom z wymion mleko wysysają, wszystkie ptaki na tamtą stronę rzeki przeleciały...

— Mirom dobrze: sieją ziarna, zbierają plony, wypiekają chleb...

— To też muszą się z nami podzielić swą błogosławioną ziemią.

— A jeżeli nie zechcą?

Zebor.

I krowa nie chce, ażeby ją doić, ani koza, ażeby z niej skórę zdzierać.

Głosy.

— Patrzcie, Mirowie wsiadają do czółen. Ładna trzódka, chyba ze dwudziestu.

— Czy też zawrą z nami przymierze.

Lud się rozstąpił dla przepuszczenia czterech kapłanów, którzy nadeszli od świątyni, wstąpili na pagórek i milcząc, usiedli na czterech bocznych kamieniach; najwyższy, środkowy, pozostał niezajęty.

— Już odbijają od brzegu. Na czele wódz i kapłani.

— Kto to wybiegł naprzeciw i przygląda im się?

— Arjos.

— Czego on tak ciągle u nich szuka? Prawie nie ma dnia, ażeby nie przemknął łodzią na drugą stronę rzeki.

— Może go Moron za żywnością posyła.

pierwotny. Już nie według cen normalnych, ale przeciętnych za ostatnie czterdziestolecie rząd ma sprzedawać zboże. W jaki sposób ustanowić te ceny? O tem zapomniał p. Kanitz, więc musiał odpowiedzieć za niego ekonomista Conrad. Jeżeli projekt ten ma wejść w wykonanie, to, według obliczeń profesora z Halli, ceny żyta w Królewcu pójść mogą w górę o 76 m., ale w Mannheimie tylko o 12 m.; jęczmienia podniosą się w Królewcu o 43 m., w Lindau *spadną* o 18 m.; owsa w Prusach wschodnich podniosą się o 15 m., w Badeńskiem *spadną* o 15—23 m.

Tymczasem atoli wniesiono projekt hr. Kanitza i do parlamentu. Ażeby uświadomić charakter chwili, dość przypomnieć, że przed rokiem wniosek ten upadł zupełnie, przed miesiącem głosowało za nim już 74, a podpisało obecnie podanie 103 posłów. Do większości jeszcze daleko. Na stronę projektodawcy przechylili się tylko konserwatyści, wolni konserwatyści, antisemici i polacy, wogóle ¼ parlamentu. Przeciwnikami są narodowo-liberalni i centrum. Nie podpisali prócz nich petycyi: Lewetzow, prezydent parlamentu, ks. Hohenlohe, syn kanclerza i pp. Stumm i Krupp, oraz Ahlwardt i Boekel (antisemici).

P. O. R.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Tym razem Chiny szczerze już chcą pokoju. Li-hung-czang przyjechał już do Szymonoseki w zachodnio-południowym rogu Niponu, gdzie go oczekiwali pełnomocnicy japońscy. Jednocześnie objeżdża Europę poseł nadzwyczajny, błagając o wstawienie się do zwycięzcy; był już w Petersburgu, następnie w Berlinie, może w tej chwili w Paryżu; ma zawitać jeszcze do Londynu. Podstawę układów obecnie wskazują taką: 1) koszty wojenne, zabezpieczone na cłach; 2) wydanie resztek floty chińskiej; 3) niepodległość Korei; 4) wytworzenie wału ochronnego dla Korei z Mandżuryi południowej; 5) odstąpienie Formozy, naokoło której uwijają się już pancerniki japońskie; 6) prowadzenie wojny bez względu na rokowania. Ostatni ten punkt dla japończyków jest bardzo ważnym. Opanowanie Mugdenu i Pekinu będzie ogromnym tryumfem, a sama groza opanowania zamieni się w miecz nad karkami chińskimi i przyśpieszy zawarcie pokoju. W obu kierunkach armia zwycięzka, zwolna wprawdzie, lecz stale się posuwa.

Komisya bezpieczeństwa publicznego w Niemczech poodrzucała wszystkie poprawki z łona sejmu tj. pp komisarzy wyszłe, a znajdowały się pośród nich nawet dotyczące pojedynków, nieprzyzwoitych widowisk i widoków, itd. Skodyfikowanie tego, co nie przepadło, zajmie niewiele czasu, bo też i niewiele jest do robienia. Centrum ciągle niby rej wodzi w odrzucaniu, ale właściwie tylko w milczący sposób targuje się z rządem: jeżeli dostanie jezuitów, zmięknie; zdaje się przecież, że nie dostanie. „Nowy kurs" przyjaźni serdecznej z Bismarkiem sam już wystarcza do powątpiewania.

Centrum zagrało jeszcze jedną pobudkę: dopomina się w sejmie pruskim przywrócenia zniesionych w latach 1873-5 artykułów 15, 16 i 18-go konstytucyi pruskiej z r. 1850, a zniesienia dodanych podówczas rozporządzeń prawodawczych, potrzebnych do Kulturkampfu. Sprawę tak dobrą powinny poprzeć wszystkie stronnictwa; ale poparcia istotnie spodziewać się można tylko od tych, które stanowią oporną lewicę sejmu.

Z Bismarkiem przyjaźń. Cesarz Wilhelm II, lubiący jeździć, jedzie jeszcze przed dniem rocznicy, *Prima Aprilis*, do Friedrichsruhe; jednego syna, Wilhelma, zamianował w miejsce hr. Stolberga-Wernigerode nadprezydentem Prus wschodnich, drugiego, Herberta, chciałby osadzić na miejscu generała Werdera w Petersburgu. O zamianowaniu Wilhelma nadprezydentem zawiadomił „altkanzlera" umyślnym telegramem. Rocznica ma być świętem narodowem. Dzieci uwolnione będą od nauk, pięć tysięcy studentów nawiedzi siedzibę geniuszową, stronnictwa porządku w sejmach zbiorą się prawie *in corpore*, deputacye miast natloczą się z wieńcami honorowego obywatelstwa. Fosforyscencya głów sama przez się jest już widowiskiem ciekawszem od obchodów jubileuszowych. Zapału nie podzielają tylko krańcowi wrogowie polityki księcia-kanclerza: wolnomyślni, socyaliści i środkowcy; nie mogą się też zapalić i obrońcy interesów narodowych, którym wogóle entuzyazmy niemieckie, jako takie, obcymi być muszą. Sejm urzędownie nie wystąpi, ani pruski, ani niemiecki: wniosek wywołałby tu i tam rozprawy uwłaczające czci dla wielkiego człowieka dzisiejszych Niemiec.

O czynnościach pruskiej rady stanu, ściśnionej („engerer Staatsrath"), znajdą czytelnicy szczegóły w liście z Berlina.

W Austro-Węgrzech znowu kiełkować zaczyna przydeptywana już reforma wyborcza: rząd występuje już teraz z projektem wytworzenia nowej, piątej kuryi, z dwóch gromad wyborców: do pierwszej należeć będą wszyscy, choćby najdrobniejszy podatek państwowy płacący, do drugiej — rzemieślnicy i robotnicy fabryczni, wykwalifikowani w robocie, zwłaszcza wszyscy, należący do kas chorych (zapomóg na wypadek choroby, t. zw. „Krankenkasse") i nadto jeszcze ci, co się nigdzie dotychczas pomieścić nie mogli. Izbie deputowanych, liczącej obecnie 353 członków, przybędzie nowych 80, czyli że liczebnością swoją zrówna się przyszły sejm przedlitawski z sejmem pruskim, takim, jaki był już w r. 1850. Ludność Przedlitawii jest od pruskiej mniejszą. Projekt może być jak najlepszym, ale zła geometrya wyborcza może go najhaniebniej popsuć, geometrami zaś są sami ministrowie spraw wewnętrznych. Prawodawstwo wprawdzie określa okręgi, jednak przez odmówienie wyborcom udzielności i samorządu odbiera częstokroć jedną ręką to, co dało drugą.

Na Węgrzech oburzenie na wspólnego ministra wojny, Krieghammera, że w rozmowie, podanej w *Pesti hirlap*, potępił nowalijki p. Aponyi'ego i krzykaczy z lat dawnych i nie chce słyszeć o armii austryackiej innej, jeno niemieckiej w komendzie, a zapewnia, że dopóki jest ministrem, Węgry akademii wojskowej węgierskiej w Peszcie mieć nie będą. Dynastyczna ze swej istoty armia Austro-Węgier, musi być postawiona nad sporami i całą dynamiką narodowości. Lepszy już byłby podział na przedlitawską i zalitawską, niż odróżnianie w jednolitej węgrów od niemców, niemców od słowian. Czy tak mówił istotnie minister? Może mówi tylko dziennikarz — ale mówi rozsądnie.

Zebor.

To chyba on ją sam zjada, bo nigdy nie nie przynosi. Ja wam odkryję sekret: on zawiera tam przymierze—z ładną dziewczyną. I ręczę, że zrobi to ze wszystkiemi młodemi kobietami. Za kilka lat będziemy mieli śród Mirów małą własną kolonię.

Widok 2.

Gromadka Mirów, złożona z samych starców, między którymi, jak świt śród mroków, odbijał się swą młodością piękny wódz Tylon, weszła na drugi, przyległy do brzegu pagórek, oddzielony od zajętego przez Wirów wązkiem przegięciem wyniosłości.

Mirowie.

Pozdrowienie Wirom!

Wirowie.

Pozdrowienie Mirom!

Właśnie cisza pochłonęła ostatnie echa tych okrzyków, kiedy ze świątyni wyszedł i wolnym krokiem zbliżył się ku pagórkowi swego ludu Moron. Kroczył on wolno, oblany skośnem światłem omdlałego słońca, które już dobiegało do widnokręgu. Długie, białe włosy głowy i brody, spadające w bujnych i gęstych pasmach, ukazywały zaledwie część surowego oblicza patryarchy, na którego wyniosłej postaci obwisła luźnie czerwona szata, przepasana w biodrach złocistym sznurem. Posuwał się jak niewidomy. Dwu młodzieńców w krótkich, białych narzutkach ujęło go pod ręce i wprowadziło na pagórek, gdzie stanął na środkowym kamieniu, z twarzą ku Mirom zwróconą.

Moron.

Bóg mój błogosławi wszystkich cnotliwych. Od chwili, gdy zniknął z przede mnie w swej szacie z błyskawic, zamknąłem oczy i otwieram je tu dopiero, ażeby jasność jego, którą pod powiekami zatrzymałem, rzucić na wasze głowy, zacni Mirowie. Błagałem go tak gorąco, jak tylko niewolnik pana, syn — ojca, stworzenie—stworzyciela błagać może, ażeby z serca mego wylał gniew, niesprawiedliwość i nienawiść, a napełnił je umiarkowaniem, wolą i miłością; ażeby iskrze swej mądrości pozwolił żarzyć się w moim rozumie, gdy z wami rozmawiać będę. Czy chcecie wiedzieć, co mi objawił i rozkazał?

Mirowie.

Mów.

Moron.

Pan rzekł mi: Moronie, bądź widomemi wargami mojemi. Jestem Jam, bóg i stworzyciel duchów, ludzi, zwierząt i wszelkiego istnienia. Co było, jest i będzie, to było, jest i będzie tylko z woli mojej.

Tylon.

I Rod jest bogiem, i Tor, i Elion i inni.

Moron.

Nie skończyłem. Pan nasz rzekł mi dalej: Ty bądź naczyniem, które wolą moją napełnię, a lud twój niech będzie arką, w którą to naczynie wstawię. Oko nie widzi, ucho nie słyszy niczego, tylko to, co pochodzi ze mnie, a żadne oko nie widzi i żadne ucho nie słyszy mnie. Jestem wszędzie i nigdzie. Kto wymówi inne imię boga, niż Jam, przeklęty jest przez całe stworzenie, które znieważa. Gdy wszystko ucichnie, te bluźnierstwa jeszcze brzmieć będą głosem win nieprzebaczonych. Niebiescy słudzy moi zbuntowali się przeciwko mnie i przed ślepymi udają bogów. Mgnienie mojego gniewu zniszczyłoby tych kusicieli i ich wyznawców. Ale ja chcę, ażeby samo stworzenie odwróciło twarz od ciemności ku światłu, od kłamstwa ku prawdzie. Wszystkie siły we mnie są równe, żadna mniejsza od innych, a więc i dobroć nie mniejsza od władzy. Lecz gdy upłynie czas, nad którym zawiesiłem moją cierpliwość, wtedy nadejdzie dzień sądu i pomsty dla wszystkich, którzy nie uznali swego stwórcy. Takie słowa wyrył Pan swym ognistym językiem w duszy mojej.

Tylon.

Jeżeli twój bóg tak grozi naszym bogom, to niech oni przygotują się z nim do walki. My przybyliśmy tu, wezwani przez

BADANIA NAUKOWE.

„JAŹŃ ZBIOROWA“

(przyczynek do psychologii życia zbiorowego).

II.

Oglądanie istoty, podobnej do siebie, stanowi potrzebę duchową niemal dla każdego stworzenia. Ptactwo morskie zlatuje na wysepki, „tam się organizuje na kształt pułku żołnierzy, młode zajmują jedno miejsce, dojrzałe — inne, samice wysiadujące i wolne mają znowu swoje, porządek zaś bywa przestrzegany tak ściśle, że każda z gromad bez litości odpycha ptaki, należące do innej kategoryi.“ Sympatya to jedynie pcha ptactwo do tworzenia takich stad. Fizyologia może dostarczyć jeszcze namacalniejszego faktu. Królik samiec, głodzony w samotności, zdycha po dniach kilku. Lecz jeżeli go poddamy postowi w towarzystwie samiczki, to acz morzony tak samo, żyje dłużej. Ów pociąg, jeszcze lepiej powiedzmy: owa przyjemność, jakiej doznajemy na widok istoty, która swojem jestestwem duchowem przypomina nam jaźń własną i jak w zwierciadle odbija emocye nasze, wchodzi jako pierwiastek zasadniczy w skład ducha zbiorowego. Ale jaźń kolektywna, dla swego powstania, potrzebuje jeszcze czegoś więcej — nietylko towarzystwa stworzeń, podobnych do siebie z kształtów zewnętrznych, lecz przedewszystkiem stanów duchowych, nastrojonych w sposób jednaki, przynajmniej zaś takich, któreby zdołały harmonijnym oddźwiękiem odpowiedzieć na te same podszepty. Rzecznicy pobudki naśladowczej w naśladownictwie widzą jedyną i dostateczną sprężynę. Starczy — powiadają oni — ażeby ktoś znalazł się w tłumie, a po pewnym czasie będzie odpowiednio postępował: rozum jego ulegnie przyćmieniu, odruchowość nim zawładnie. I sypią obficie fakty na potwierdzenie swojej tezy — z różnych miejsc i czasów. Rozszalała tłuszcza w swawoli zbiorowej hasa po cmentarzysku, proboszcz, uniesiony gniewem na czyn bluźnierczy, przeklina tancerzy, którzy odtąd będą pląsali w korowodzie, aż padną bez czucia na ziemię. Ten i ów z widzów podziela oburzenie kapłana, aliści po chwili nogi, na przekór woli, zaczynają drgać mu w takt do korowodu i niebawem kręci się pospołu z innymi. Albo jeszcze przykład: Córka, wróciwszy ze świątyni po nabożeństwie niedzielnem, wpada w szał. Ojciec usiłuje powstrzymać obłęd swego dziecka, nadaremnie. Po paru godzinach idzie za jej przykładem, później zaś to samo czyni matka i starsza siostra. Instynkt naśladowczy tłomaczy to wciągnienie kogoś do czynu przez siebie potępionego, ową zarazę moralną, przechodzącą od obłąkańca na jego otoczenie. Jednak fakty przytoczone nie zupełnie tego dowodzą, co w nich widzą wyznawcy naśladownictwa. Zdarzyło mi się parę razy w życiu, na obczyźnie, wpaść w olbrzymie zbiegowiska. D. 9 października 1893 r. byłem w Chicago śród gromady, liczącej paręset tysięcy głów. Wieczorem, kiedy mroki rozjaśniono ogniami sztucznymi i z piersi obecnych popłynął ponad jeziorem hymn narodowy amerykański, jakby dreszcz przebiegł po wszystkich. Ten sam wyraz rozrzewnienia zawisł na twarzy uczestników, ręce w takt uderzyły. Jaźń zbiorowa tworzyła się przede mną i falowała. Co do mnie, pozostałem widzem zgoła obojętnym. Przypatrywałem się tej ekstazie gromadzkiej z takim samym chłodem, z jakim badałbym pod skalpelem ustrój wewnętrzny mięczaka. Czemu owo wszechpotężne naśladownictwo nie zaprzęgło mnie do współdrgania z tłumami nad Michiganem? Rzecz prosta: wszystko było mi tam obcem, i uniesienie patryotyczne z powodu tego, że w tym dniu amerykanie zgromadzili największe w dziejach zbiorowisko stworzeń ludzkich, i emocya, zrodzona na odgłos dźwięków hymnu narodowego. Nic nie przemawiało do mojej wyobraźni i nic nie zmuszało serca, ażeby żywiej uderzyło. Przeciwnie, nigdy może nie czułem tak silnie swojej indywidualności i odrębności, które przecież tak łatwo można zatracić w gronie niekiedy bardzo drobnem, ale gdzie czujemy się całem swojem jestestwem spokrewnieni z innymi. Dusza zbiorowa wykluwa się tylko tam i wtedy, gdy pomiędzy zgromadzonymi, krom prostego sąsiedztwa w przestrzeni, istnieje jeszcze coś więcej. Powstaje ona, gdy zbiegną się wspólne emocye i ideje, niekoniecznie jawne, bo mogą one spoczywać w ukryciu i dopiero się uwydatnić w potrzebie. Równie w powyżej przytoczonym przykładzie, gdy ojciec, później zaś matka wpadają w szał na widok córki, obłęd ten, wywołany na jaw przez pobudkę naśladowczą, musiał już tkwić w jestestwie rodziny i wystąpił skutkiem uwydatnienia się tej właściwości u kogoś ze swoich. Pewne uczucia i emocye, pociągi i objawy chorobliwości nerwowej, wreszcie pewne ideje są rozrzucone w całem społeczeństwie i spoczywają niekiedy na dnie duszy jego członków, pokryte grubą warstwą nieświadomości. W pewnych wypadkach bywają przebudzone i w splocie sprzyjających okoliczności stwarzają gromadę, wiążą ją spoidłem duszy zbiorowej. Jaźń kolektywna, to jakby ognisko, w którem te wspólne stany indywidualne zbiegły się i zeźrodkowały, spotężniały i uwydatniły; to wreszcie kryształ, co się osadził z rozczynu duchowego, przenikającego szerokie koła społeczne. Każdy z atomów, należących do gromady, przyszedł na miejsce porodu jaźni zbiorowej z przygotowaną do tego psychiką i przedstawia strunę, nastrojoną na ten sam ton, co inne. Kiedy jedna z nich zadrga, reszta jej wtóruje. Demonomanie średniowieczne odbywały się na substratum zwichrzonej nerwowości, podsycane przez wyznawaną ideę o czyhaniu mocy szatańskiej, krucyaty rodziły się z podmuchu, który rozdął zarzewie religijne, tlejące w sercach wiernych, hece antisemickie były skrystalizowaniem nienawiści rasowej, namiętności klasowe, wybuchające w strejkach, wszystko to jest tylko żywszem uwydatnieniem tego, co w głębi duszy warstwy pracującej tkwi zawsze. Taki uprzednio istniejący podkład duchowy stanowi nieodzowny warunek dla ujawnienia się owego jestestwa zbiorowego, o którem mówimy. Naturalnie, pobudka naśladowcza wtedy działa, ale jest tylko ręką, która uderza o struny już jednako nastrojone i wydobywa z nich akordy, harmonią rozbrzmiewające. Espinas w swojem dziele zanalizował mechanizm powstawania jaźni zbiorowej pod wpływem wzajemnego naśladownictwa. Ktoś wygłasza mowę przed zgromadzeniem. Przy pierwszych błyskach wymowy podniecenie jego udziela się słuchaczom, z których każdy będzie powrotnie oddziaływał na mówcę oklaskami lub zdwojeniem uwagi, oraz wpływał podobnie na całe audytoryum. Wzruszenie ogarnia przemawiającego i wzmaga się, ponieważ

---

was, po to tylko, ażeby wysłuchać, jakie chcecie zawrzeć z nami przymierze.

Moron.

Musimy naprzód wam powiedzieć, czego nasz bóg wymaga. A więc żąda on, ażebyście porzucili swoich i oddali cześć jemu, jako jedynemu władcy świata.

Tylon.

Czy to już wszystko?

Moron.

My zaś, zgodnie z wolą jego, żądamy, ażebyście z nami zjednoczyli się zupełnie, ażebyście pozwolili naszym trzodom paść się obok waszych, ażebyście nas dopuścili do waszych pól i wód, ażebyście otworzyli nam bramy waszych siedzib i drzwi waszych domów, ażebyście z nami jedli wasz i nasz chleb. Wtedy nasz bóg spuści na was deszcz łask swoich.

Tylon.

Krótko mówiąc, Jam żąda, ażebyśmy wyrzekli się naszych bogów dla niego, Wirowie zaś, ażebyśmy wyrzekli się naszej ziemi i dobytku dla nich. I cóż nas zmusza do tej ofiary?

Moron.

Tak przeze mnie rozkazał bóg, który nad nami i wami panuje.

Tylon.

Nad nami panują inni bogowie.

Moron.

Nie ma innych, prócz Jama! Przynieście tu tablicę objawienia...

Jeden z kapłanów oddalił się do świątyni.

Bóg jedyny długo spoglądał pobłażliwie na błogosławieństwo dzieci, które zapomniały o swoim ojcu, ale teraz podniósł karzącą rękę i wzywa ich do posłuszeństwa. On nie prosi, lecz rozkazuje. On nie ulega opornym, lecz ich wydziedzicza z ziemi, wody, powietrza za życia i z nieba po śmierci.

Kapłan przyniósł glinianą tablicę, z której Moron czytał.

Słuchajcie świętych słów objawienia: „Na początku był tylko Jam, rozmyślający od wieków nad swojem bezmiernem wnętrzem. Jednego dnia rzekł: wywiodę z siebie to, co we mnie jest. I zapełnił przestrzeń świata każdą rzeczą martwą i każdą rzeczą żywą. Ale nie było między niemi takiej istoty, któraby rozumiała i sławiła wielkość stwórcy. Wtedy Pan rzucił na ziemię cień swojej mądrości — i powstał pierwszy mężczyzna, Arjos; następnie Pan rzucił przed niego cień swojej piękności — i powstała pierwsza kobieta, Orla. I zrodziła ta para dwu synów i dwie córki. Jeden z nich Wir, którego Pan szczególnie umiłował, rozpłodził swoje nasienie w ludzie Wirów; drugi, Mir, mniej Panu przyjemny, rozpłodził swoje nasienie w różnych ludach, opętanych przez złe duchy. Wiernymi prawdziwemu bogu pozostali tylko Wirowie.“ Oto są słowa zakonu.

Tylon.

I naszym pierwszym ojcem był Arjos, a pierwszą matką Orla, ale nasza księga święta inaczej uczy.

Moron.

To wypal jej bluźniercze głoski ogniem, ażeby po nich najmniejszy ślad nie pozostał, lub wystaw ją na urągowisko i ciśnij w głębię morza, ażeby jego potwory nią się potruły. Bogiem jest tylko Jam, który przeze mnie mówi.

Tylon.

Starcze zuchwały, chcesz sobie w usta włożyć całe niebo i jego mocą przemawiać? Wezwałeś nas tu dla związania braterstwa, a znieważasz naszych bogów i każesz nam dobrowolnie zostać waszymi niewolnikami! Mój miecz, jak moje serce, drży w pochwie zgrozą, słuchając twoich złorzeczeń. Pragniesz nam wydrzeć naszą wiarę i mienie, być napastnikiem i grabieżcą — powiedz otwarcie, a nie skradaj się do naszych domów, jak lis skórą boską obleczony.

Moron.

Boże, ty widzisz z niebios, że spełniłem wolę twoją i że ona została sponiewieraną.

jest on jakby ogniskiem, do którego tłum wzruszony odsyła wrażenie, od niego odebrane, lecz tylekroć wzmocnione, ile jest obecnych. Ognisko zaś to żywo, odebrawszy emocyę spotęgowaną, znowu zwraca ją słuchaczom. Rozpoczyna się wzajemna wymiana prądów uczuciowych, każdy jej akt potęguje jaźń zbiorową. Niekiedy dochodzi do tego, że niedoświadczony mówca dławi się na samym początku własnem podnieceniem. Wzrost emocyi zbiorowej będzie tym razem w stosunku prostym do liczby uczestników, chociaż nie zawsze, bo w zamieszaniu, kiedy gromada jest rozproszona, znaczna część wzruszeń ginie bez oddźwięku. Ale żeby podniecenie ogarnęło publiczność, aby wzajemne naśladownictwo zaczęło wywoływać żywsze uderzenie serc, a słowa mowcy stworzyły z mnóstwa osób jedność kolektywną, potrzeba, iżby ów ktoś uderzył w struny istniejące. W danym wypadku uczynił to mówca, w innym dzieła tego dokonają odmienne czynniki. W żadnym jednak razie nie należy mniemać, że sprężyny, wywołujące z ukrycia wspólne struny i łączące pojedyncze tony w melodyę zbiorową, odpowiadać winny swoją mocą skutkom: rozjątrzeniu, namiętności. Przeciwnie, mamy wypadki, kiedy drobny szczegół prowadzi do wybuchów, stokrotnie przewyższających go swojem napięciem. Nieznaczna zniewaga, uczyniona przez żyda chrześcianinowi, w wiekach średnich kończyła się rzezią starozakonnych, co pochodziło z tego, że owo podścielisko duchowe, które przebudzono i później przy pomocy naśladownictwa zorganizowano, odznaczało się odpowiednią mocą. To też w czasach rozkiełznanych namiętności społecznych, nigdy nie można być pewnym, jak masy odpowiodzą na najbardziej znikomą podnietę.

Z powyższej analizy widać, że cementem, wiążącym gromadę w jaźń zbiorową, jest uczucie. Dusza kolektywna to zaprzęgnięcie tłumu w poddaństwo jednakowej emocyi. Działalność myśli krytycznej spada tam nizko. „Jakkolwiek pod względem moralnym — powiada Tarde—tłum jest zdolny do obu krańcowości, a zatem do nadmiernej zbrodni i niekiedy do wielkiego bohaterstwa, to przecież inaczej się dzieje w zakresie czynników duchowych. Poniża się on do obłędu i wybryków bezmyślności, do których nigdy nie doszłaby jednostka. Jakby zakazano mu podnieść się do najwyższego pobudzenia umysłu i wyobraźni twórczej. W sferze moralnej gromada może upaść bardzo nizko lub podnieść się bardzo wysoko, w umysłowej—tylko może spocząć w nizinie“. Nasz lud dał na to krótkie a dosadne wyrażenie: gmin to owce! I nie dziw, bo tam gdzie namiętność zaślepiła uczestników, gdzie nie ma czasu ani możności na zcśrodkowanie uwagi, tam niewolno się spodziewać płodów, które wykwitają tylko w pewnych warunkach, choć znowu niepodobna uznać powyższej zasady za niezłomną: cerebracya mózgowa w jaźni zbiorowej może też wytrysnąć przebłyskiem genialnym, tylko że prawdopodobieństwo jest nieznaczne. Natomiast gromy, rzucane na nizkie instynkty gromady, nie posiadają nawet powyższej słuszności. „Gromadzie — ktoś powiada — łacniej jest przyswoić sobie obraz aniżeli abstrakcyę, porównanie niż dowód logiczny, wiarę w kogoś lub nieufność, aniżeli przywiązanie do pewnej idei lub zerwanie z przesądem... Przyjemność, odczuwana tam z poniżenia kogoś jest żywszą niż podziw, popęd samozachowawczy mocniej działa aniżeli poczucie obowiązku, wrzaski i sykania snadniej się rozszerzają niż oklaski, postrach bywa częstszy niż odwaga.“

A zatem należałoby mniemać, że tylko ujemne strony przeważają! Niektórzy idą jeszcze dalej, bo w duszy zbiorowej uznają jedynie popędy zbrodnicze. Pogląd to jednostronny i nieuzasadniony, bo oparty na uwzględnieniu faktów tylko jednej wielkości. Forel, wybitny badacz życia mrówek, powiada coś wręcz odmiennego o tych stworzonkach: „Odwaga mrówki zwiększa się w stosunku prostym do ilości jej towarzyszek i odwrotnie. Każda mieszkanka wielkiego mrówiska jest o wiele śmielszą niż zupełnie podobna robotnica z małego stowarzyszenia. Ta sama mrówka, która naraży się na śmierć dziewięć razy w otoczeniu swych towarzyszek, staje się nadzwyczaj nieśmiałą, unika najmniejszego niebezpieczeństwa i nawet słabszej od siebie towarzyszki, gdy jest odosobnioną o 20 metrów od gniazda.“ Zatem psychologia gromady wyglądałaby w rodzie ludzkim inaczej niż w mrowisku, człowiek byłby skłonniejszy do tchórzostwa, mrówka zaś do bohaterstwa zbiorowego! Raczej sądzę, że zdanie ujemne o człowieku pochodzi wprost z braku dostatecznej sumy spostrzeżeń; nastroje, wypływające ze wzruszenia estetycznego, ekstazy religijne, których widownią bywa Częstochowa podczas odpustów, uniesienia radosne na wieczorynce koleżeńskiej lub w teatrze, mimo że się powtarzają, codzień, przepływają bez śladu; natomiast każda heca antysemicka lub rozgorączkowanie strejkujących na lat wiele pozostaje w pamięci. Dodajmy, że zbiegowiska uliczne, które tylo przyczyniły się do analizy jaźni zbiorowej, że popłoch z powodu pożaru i inne podobne wydarzenia, głównie są rozbierane przez badaczy, a zrozumiemy ową jednostronność. Pobudki niższe może istotnie przeważają, ale przedewszystkiem zanim wyrok wydamy, powinniśmy mieć pod ręką dokładną statystykę, w której zarówno uwzględnionoby zbiorową zbrodnię i sykania, jak i oklaski i rozrzewnienia na koncertach. W psychologii jaźni zbiorowej jedno jest niezawodnem, że uczucie, a nie myśl krytyczna łączy pojedyncze osoby, że to uczucie nie może być ani natury rozległej, ani różnobarwnej, że owszem musi się ono odznaczać swoją jednostronnością i zarazem napięciem. Nad tłumem panuje idea, lecz tylko ta, która jest członkowanym wyrazem dla podścieliska uczuciowego. Jaźń zbiorowa jest monoideistyczną, tj. jednoidejową. Zwarta w tym razie, pod innymi względami bywa nader odruchową. Może wpadać w krańcowość, od gwałtu przechodzić do litości, od bohaterstwa do tchórzostwa, ale w każdym okresie jej życia zawsze jest opanowana przez jedno uczucie—przynajmniej cięży ku niemu. *L. Krzywicki.*

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY Z PARYŻA.

Rozwój poglądów na studentkę w literaturze francuskiej. Juliusza Claretie: *Les amours d'un interne* (Miłość interna), Salvadora Quevedo: *Létudiante* (Studentka), Esparbesa: *Azil* i najnowsza powieść J. H. Rosny'ego: *L'indomptée* (Nieposkromiona).

W r. 1881 wiosną pismak raczej niż pisarz, Juliusz Claretie, obecnie dyrektor komedyi francuskiej, wydał powieść pod tytułem: *Miłość interna.*

Jeślim godzien łaski twojej, powiesz mi, co czynić powinienem. Wracajcie Mirowie do swojej ziemi pod osłoną naszej gościnności, a my na tem wzgórzu, które miało być kopcem przymierza, wzniesiemy ołtarz i ofiarujemy Panu białe koźlę dla zmazania grzechów tu popełnionych.

Tylon.

Wracajmy co prędzej i zabezpieczmy nasze pola przed tą wędrowną szarańczą, która się chce na nie zwalić! Przekleństwo Wirom!

Głosy Wirów.

Przekleństwo Mirom!

Zebor.

Wymordować!

Mirowie, jak stado gnanych łabędzi, zbiegli ze wzgórza ku rzece.

Moron.

Uciekajcie na stopach, może wrócicie na kolanach! Rodowcy moi, słyszeliście, co odpowiedzieli Morowie. Tą wstęgą rzeki przecięli nam świat. Przed nimi bezbrzeżne niwy i błonia, przed nami granica, której zabraniają przekroczyć. Oni chcą się ze swemi trzodami rozpostrzeć szeroko po ziemi bogatej, my musimy zamknąć się w tym skrawku stepu między pustynią i ich zaporą. Do nich uśmiechać się będzie powabnem obliczem dostatek, nas — pożerać głód.

Głosy.

Prowadź nas przeciw nim, ojcze, wodzu, powierniku boży, my dzieci twoje!

Zebor.

Wir spoczywa na łonie boga, Moron nam przywodzi, myśmy synami Morona.

Głosy.

— Nie Wirowie, lecz Moronowie.

— Tak, Moronowie!

— Dziś nas bóg nazwał twojem imieniem!

— Moronowie, Moronowie! Niech żyje nasz patryarcha!

Zebor.

Wodzu, wskaż, dokąd iść mamy!

Moron.

Tylko tam, dokąd bóg wskaże. My niczego nie powinniśmy pragnąć, tylko tego, ażeby on nam wolę swoją wyraźnie objawił i ażebyśmy ją dokładnie spełnili. Nazwaliście mnie wodzem, ojcem ludu, powiernikiem bożym, a ja jestem niczem, dopóki Pan nie napełni mnie swoją mocą. Jeżeli on dziś nie raczy w tę szczyptę nędznego prochu, którą nazywacie wielkim Moronem, tchnąć swej myśli, nie powiem wam jutro, czy możecie spojrzeć na wschodzące słońce. Padajcie przede mną na kolana, ile razy bóg we mnie wstąpi, ale nie uważajcie godniejszym czci od spróchniałego dębu, skoro mnie opuści. Panie, panie, lud twój pyta, co mu czynić każesz.

Chwilę stał wpatrzony w niebo.

Chwała, chwała! Widzę cię wielki, wszechmocny władco świata! Przesłoniłeś oblicze chmurą, ażebym patrząc w nie słabym wzrokiem, nie umarł z przerażenia. O Panie, Panie, biegnie do ciebie korna i strwożona dusza moja po rozkazy i z błaganiem o miłosierdzie nad ludem twoim, któremu grzechy nie pozwalają widzieć ciebie. Jeżeli złym jestem dla niego przewodnikiem, zatrzymaj, Panie, duszę moją w niebie. . Och!..

Moron, zachwiawszy się, upadł. Obecni nie mieli odwagi i siły pośpieszyć mu z pomocą. Nawet nikt nie ośmielił się wydobyć z siebie szeptu. Noc obciągała coraz bardziej tę niemą i nieruchomą grupę, której twarze były bledsze od światła gwiazd. Wreszcie Moron, odetchnąwszy głęboko, dźwignął się.

Moron.

Żyć każesz — żyć będę. Za wszystko dzięki ci, Panie... Błogosławię was imieniem boga ojca naszego, który jest w niebiosach. Rozejdźcie się do namiotów waszych i zanieście do niego gorące modły. Tylko ty, Arjosie, zostaniesz tu ze mną. Tak Pan rozkazał.

(D. c. n.)

Najcharakterystyczniejszą w niej była przedmowa:

„Czytelnik znajdzie w tej książce studyum—po raz pierwszy dokonane przez powieściopisza—jednej z najdziwniejszych form wielkiej choroby naszego wieku.

Książka ta poświęcona prawdzie, surowej prawdzie nie przysłoniętej woalką, tak odkrytej, jak memoryał naukowy. Stąpałem, jak mówi Wordsworth, po twardym gruncie przyrody.

Nic niema bardziej częstego w naszem społeczeństwie, jak te newrozy dziwne, stwarzające bądź maniaczki uciech światowych i teatru, bądź egzaltowane polityczki. Histerya wszędzie teraz zapanowała. Tu przebija się z mowy, wypowiedzianej przez histeryczkę na zebraniu lodowem, tam z listu bezimiennego. Widzieliśmy już to i co dzień widzimy. Było więc obowiązkiem (?) powieściopisarza zabrać się po uczonych do wystudyowania owych objawów zastraszających i wypadków dziwacznych.“

„Studyum“ jest rozwałkowaniem na pięciuset stronicach następującej treści: Pewien „intern“ (rodzaj zastępcy lekarza) zakochał się w rosyance Oldze, studentce, i także zastępczyni lekarza. Raz Olga spytała się Pedra, czy ją kocha, czy też tylko jej „pożąda,“ a gdy na tak drażliwe pytanie intern nie znajdował odpowiedzi, zerwała z siebie kaftanik i odkrywszy łono oświadczyła, że jako należąca do sekty skopców, przed kilku laty wycięła obie piersi. Poczem intern ochłonął z miłości i poślubił nie należącą do skopców francuzeczkę.

Doprawdy należało tu podziwiać cynizm Juliusza Claretie, nie w odkrywaniu piersi kobiecych, ale w bezwstydnem pozowaniu na uczonego. Niech kto w podobnym motywie szuka badania „choroby wieku!“ W „wystudyowanej“ powieści nie nie nadaje bohaterce cech histerycznych. W jakim związku pozostają wreszcie maniaczki teatralne z dobijaniem się wiedzy, albo—chleba? Przypuśćmy nawet, że chęć nauki jest objawem histerycznym (skąd wynika, że sam Claretie jako „naukowo“ badający kwestyę jest — histerykiem), to w każdym razie nie „najdziwniejszy“ to objaw „choroby naszego wieku.“

Jako pseudonaukowy elaborat, była „Miłość interna“ prawem dzieckiem ósmego dziesięciolecia, kiedy Emil Zola trąbił na cztery strony świata o naukowości romansu. Uczciwość Claretiego jest jeszcze niklejszą, niż „mistrza.“ Poruszam ów przedmiot dla tego, że po raz pierwszy spotykamy się tu z poglądami, na studentkę, wypowiedzianymi w powieści. Autor chciał widocznie dowieść, że studentka i histeryczka, epileptyczka itp. są synonimami.

Gdy w r. 1887 teza panny Karoliny Schultze, dzięki zebranym materyałom (ale nie opracowaniu) zwróciła na się powszechną uwagę, jeden z cyganeryi, chciwej zawsze „kwestyi palących“ meksykańczyk, Salvador Queveda, ogłosił powieść pt. „Studentka.“ Była to rzecz warta „Miłości interna.“ Pewna dziewczyna, francuska, uczyła się pilnie, ale na nieszczęście zakochała się w koledze, który przyjął miłość obojętnie. Znajomy jego, profesor uniwersytetu, Rouff, dowiedziawszy się o tem, postanowił wyprzeć go z serca Betsy. Istotnie zyskał jej sympatyę i potrafił ją nakłonić do ofiarowania się na doświadczenia w zakresie sztucznego zapłodniania. Skończyło się na naturalnem (dokonanem w stanie snu hypnotycznego); poczem Betsy odebrała sobie życie.

Brudna ta i niesmaczna ramota zawierała odrobinę życia. Bohaterką już nie była tu cudzoziemka, a uciekanie się do złożonej osnowy dowodziło, że nawet w nieprzyjaźnie usposobionych warstwach, ośmieszających kobietę uczącą się, nie miano dowodów, jakoby w parze z nauką szło u niej zepsucie moralne.

Trzeci utwór, jaki znam, traktujący o studentce: nowela Gabryela d'Eparbesa „Azil,“ drukowana w tygodniku „La Vie populaire“ 1892, dowodzi wymownie, że społeczeństwo francuskie nie ma danych do zarzutów etycznych. Azila Kamiczew, także intern, chłodna względem miłości, z kolegami utrzymuje stosunki, ale w swojej izbie tęskni do ojczyzny, marzy o szczytnem przeznaczeniu kobiety-lekarza. Słowem młodsze pokolenie pisarzy upatruje zawsze jeszcze w studentce westalkę, ale rozumie już w znacznej części jej duszę i dążności.

I tak lata płynęły, powoli obawy cichły, brudne legendy znikały. Lekarki ani słuchaczki filozofii nie zgasiły ognisk rodzinnych, nie spaliły ołtarzów domowych, nie zwiększyły ilości azotu w powietrzu. Nie zorganizowały się w pułki amazonek, niosących zagładę argumentom płci męzkiej. Przyczyniły się skromną pracą do rozwoju wiedzy ludzkiej, dostarczyły dowodów, że i w czaszkach o mniejszej objętości odbywają się szlachetne procesy myślenia. Nie wynikł z ich winy ani rozkład dziewiętnastego stulecia, ani upadek moralny świata.

Owszem, zyskały stronników dla idei kształcenia kobiet — nawet we Francyi, która najmniej stosunkowo wydaje uczących się niewiast. Dowodem zaś tego wymownym jest niedawno ogłoszona (Paryż, 1894, u Leona Chailley) powieść J. H. Rosny'ego: „Nieposkromiona.“

Było to w amfiteatrze. Karolina ze smutkiem dysekowała. Studenci wkoło dowcipkowali nad ciałami, ją trawił ból i nużyły myśli o wiecznym głodzie i chłodzie, o konieczności pożyczania u koleżanek, wdrapywania się na siódme i szóste piętra i tak bez końca.

Ilekroć wyszła z sali anatomicznej, woda wlewająca się w buciki, odmowy zagadniętych o pieniądze towarzyszek, tygodnie całe w samotności o suchym kawałku chleba, szarpały ją boleśnie. I nieraz siły opuszczały. A potem znowu chwile jaśniejsze.

Oto treść pierwszego rozdziału i symbol całej powieści. Ta Karolina ma wątłe ciało, ale silną duszę. Przy tem wszystkiem jest ona kobietą. Chciałaby z kimś wspólnie iść przez życie i dlatego miłość zajmuje znaczną część książki.

Kocha ją Gurya, po jego śmierci rodzi się w niej serdeczne uczucie dla interna Laborde'a. Lecz gdy ten chce aby Karolina została tylko jego kochanką, z cierpieniem ale pełna dumy zrywa. Kończy medycynę, osiada na wsi, leczy z zapałem, poznawszy wreszcie człowieka rozumnego, Marcela Desroshes, oddaje mu rękę.

Taka jest mniej więcej osnowa „Nieposkromionej.“ Karolina nie jest entuzyastką, ani wcieleniem ideału i przyznam się osobiście, nie zupełnie mię zadowala. Literatury inne posiadają bardziej subtelne postacie studentek. Niemiecka w „Samotnych“ Hauptmana, ruska w „Marnotrawnym synu“ Macztieta, polska w prześlicznej nowelce M. Lipińskiej „Dziwaczka.“ Są to, że tak powiem, pączki róż. Karolina Monteil jest najwyżej malwą. Ale i to kwiat ładny.

Ze stanowiska ogólnego, jako wyraz opinii, Karolina korzystniej się przedstawia. Wyjątkowość powyższych postaci może wywołać zarzut, że stworzyli je entuzyaści, patrzący różowo. Każda ma w sobie coś idealnego i skrzydełka motyle. Karolina przeciwnie: przedstawia może więcej niż połowę kobiet, oddanych nauce, nie wzbija się nadmiernie, posiada duszę nie najsubtelniejszą, ale jest we wszystkich swych czynach dzielną i uczciwą. Rzeczywistość daje nam dużo takich typów.

Jako utwór artystyczny, dzieło Rosny'ego posiada wiele słabych stron. Bladość wykonania przedewszystkiem. Ale jako etap w rozwoju poglądów społeczeństwa francuskiego na studentki, zasługuje na gorące wyszczególnienie.

I jest to bez wątpienia pewnego rodzaju tryumf, owo podnoszenie się opinii publicznej, poprawianie się, wyjaśnianie i oczyszczanie. W szklankę wody mętnej padły okruchy ałunu i brud na dno się stoczył. Promień słońca padł na ściany szklane i woda błyszczy jak srebrna.

W. Bugiel.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Nakładem księgarni Arcta wyszły *Dzieje początków cywilizacyi powszechnej* F. Streisslera w dobrem tłomaczeniu Z. Kamińskiego. Stanowią one tom (str. 241) „Biblioteczki pożytecznej.“

— Gruntowna praca Józefa S. Konica *O źródłach azotu dla gospodarstw rolnych* (czytana w sekcyi rolnej) wyszła jako odbitka ze *Wszechświata.*

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa doprowadziła wydanie *Dzieł dramatycznych* W. Shakespeare'a do tomu VII; księgarnia zaś lwowska do zeszytu 28.

— P. Plato Reussner wypuścił w świat: *Najnowszy elementarz polski* (część I) i *Samouczka polsko-francuskiego* zeszyt II—VI.

— *Encyklopedyi rolniczej* wydano zeszyt 43 od wyrazu Kerdy do Kasztan.

— *Dziejów powszechnych* ilustrowanych (Bondego), ukazały się zeszyty 16—18.

— Ukazało się dziełko popularne Antoszki *O czechach, ich kraju i życiu* (str. 84 z rysunkami u M. Wirbeka).

— P. Artur Bardzki, adwokat, ogłosił obszerną (str. 402) i wyczerpującą w najdrobniejszych szczegółach pracę p. t. *Środki dochodzenia należności przez Towarzystwa Kredytowe.*

— Pan B. D. Porumski przełożył i wydał wierszem *Dysputę* Heinego, nie zdołał jednak zbliżyć się do oryginału.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Niejednokrotnie już wspominałem o bardzo doniosłej akcyi ekonomicznej, podjętej w Galicyi i posuwanej rok rocznie naprzód; mam tu na myśli regulacyę rzek i potoków górskich. Nie będę wchodzić w szczegóły, bo zainteresowałyby one może jedynie ludzi fachowych; ograniczę się przeto przypomnieniem samego faktu, którego znaczenie każdy wykształcony czytelnik łatwo zrozumie. Przywiązują do tej sprawy u nas bardzo wielką wagę, zajmuje się nią wydział krajowy nader energicznie—i słusznie, bo powodzie regularnie co kilka lat rujnują doszczętnie ludność wiejską, niszczą dobytek i plony. Działalność ta posuwa się naprzód o tyle, że rok rocznie ogromne przestrzenie swawolnych rzek górskich i strumieni inżenierowie biorą w karby. Tak więc nie da się zaprzeczyć, że z jednej strony władze autonomiczne prowadzą bardzo ważną robotę, a z drugiej doniosłość tej pracy bywa niszczona lub wprost paraliżowana przez rząd austryacki. Ażeby nie być posądzonym o gołosłowność, poprę to faktami.

Większość lasów w Karpatach należy do dóbr „kameralnych“; główny ich zarząd usadowił się w Wiedniu, a mając na celu zysk materyalny, żadnych innych względów na uwagę nie bierze. Oto przykład: nad Czeremoszem ciągną się olbrzymie lasy, które wyzyskiwał i wyzyskuje obec-

nie prusak Goetz, wspólnie z innymi. Długoletnia jego gospodarka, w wysokim stopniu rabunkowa, przynosi krajowi nieobliczone straty. Stwierdzono, że od czasu kiedy ten prusak rozsiadł się w lasach karpackich. powodzie są częstsze i większe. Tkwi w tem bardzo poważna racya. Smutna to rzecz niezawodnie, ale daleko smutniejsza, że Wydział krajowy, jako instytucya autonomiczna, nie staje w obronie ubożonego przez cudzoziemców kraju, że *żaden* z posłów w radzie państwa i w sejmie przeciwko temu nie wystąpi i nie zaprotestuje. Tam, gdzie można upolować tanią popularność, znajdzie się niejeden, który z ławy poselskiej wyskoczy jak Filip z konopi, krzyknie parę frazesów, a potem długie lata milczy i chodzi bardzo wytrwale koło własnych interesów; tam jednak, gdzie kraj potrzebuje obrony istotnej, przedstawiciele, którzy, nawiasem powiedziawszy, sami siebie reprezentują, milczą bardzo wytrwale.

Wróćmy do samego faktu. Spadzistości gorskie nad Czeremoszem i jego dopływami dawniej pokryte były wielkimi lasami, które ułatwiały powolny odpływ wody, pochodzącej zarówno z roztopów śnieżnych jak i z ulewnych deszczów; część tej wody wsiąkała w glebę, przesyconą szczątkami organicznymi, powstałymi z rozkładu roślin, jako też odpadków drzewnych, część odpływała powolnie do strumieni i rzek. Las odgrywał tu rolę hamulca, tamował wielkie wylewy wód, a niekiedy czynił je zupełnie nieszkodliwymi. Goetz wszystkie te pochyłości obnażył z drzew dlatego właśnie, że na wiosnę łatwiej było z nich spławić zrąbane drzewa, a teraz każdy deszcz nawalny, każda wiosna, przynoszą wylewy. Kiedy się skończyła umowa, zwołano do Lwowa leśniczych dla zasięgnięcia ich rady co do systemu gospodarki Goetz'a; wszyscy jednogłośnie oświadczyli, że umowa z nim pozwala robić co się podoba, że jego system wyzyskiwania lasów pociąga jaknajszkodliwsze następstwa dla kraju, że na przyszłość przeto niepodobna z nim zawierać układów bez ścisłego określenia systemu użytkowania. Na tem też wszystko się skończyło. Prusak pojechał do Wiednia, potrafił w ministeryum zjednać sobie przyjaciół, wrócił z nową umową w kieszeni i po dawnemu gospodaruje jak barbarzyńca. I cóż? A nic. Posłowie, po skończeniu sesyi sejmowej, zeszli się na obiady, podzieliwszy się porządnie na prawicę i lewicę—chociaż Bogiem a prawdą żadnej różnicy między nimi nie ma—i gadają sobie mówki pochwalne: Rutowski daje buzi Lewickiemu, R. Romanowicz (urodzony prezes wszystkich Komitetów i Towarzystw) chwali pięknie kogo należy i uśmiecha się z miną, która mówi: pamiętajcie o mnie, rodacy! . Mam długi żydowskie i „oszczędnościowe." Na tem nie koniec. Na prawicy Dunajewski wypowiada głęboką myśl, że życie nie jest zabawą, a Wojtek Dzieduszycki—zakłada teraz instytucyę użyteczności publicznej dla młodzieży; kiwnąwszy do Dunajewskiego i bułknąwszy zamaszyście: tyś naszym hetmanem—rznie sobie od ucha jak „wieszcz" (podobno jakieś pismo grzeczne już go wieszczem zrobiło) — co mu natchnienie podpowie, nie bardzo się troszcząc o logikę. Naturalnie, niech o to się troszczy profesor. Tak tedy posłowie chwalą siebie wzajemnie, a niemcy kraj rujnują.

Niedawno pisałem o nowem we Lwowie *Towarzystwie sztuk pięknych*, które z łona krakowskiego wyszło i, trzeba przyznać, zyskało dużo na tem oddzieleniu się. Władysław Łoziński, jeden z wybitnych przedstawicieli tutejszego świata uczonego i literackiego, nader gorliwie nową instytucyą się zajął, potrafił dla niej zjednać sympatyę kół interesujących się sztuką, a właściwie malarstwem, i z wiosną Towarzystwo przystępuje do budowy własnego przytuliska—nazwijmy je „pałacem sztuki." Wygląda to trochę pompatycznie: pałac sztuki; niech sobie będzie dom, ale—własny. Jako gmach nowy, budowany wyłącznie dla wystawy, będzie on posiadał i oświetlenie i, nie biorąc w rachubę innych korzyści, przyczyni się także do upiększenia miasta. Plany na budynek już są opracowane, a nawet zatwierdzone. Miasto daje plac bezpłatnie, ale też i wymagania swoje stawi—przedewszystkiem ażeby gmach był piękny i nie psuł w niczem estetycznego wrażenia,—bo my jesteśmy bardzo wrażliwi na piękno! Podobno budowniczy miejski, Hochberger, odrzucił kilka planów, zanim się zdecydował teraźniejszy zatwierdzić.

Pałac sztuki stanąć ma w miejscu bardzo dobrem, prawie w środku miasta, w dzielnicy czystej i ładnej, na plantach, powstałych skutkiem zasklepienia ludowej naszej rzeki Pełtwi—(istny obraz Lwowa: mało wody, dużo błota) na rogu ul. Akademickiej, naprzeciwko kawiarni Schneidra i Chorążczyzny — jedna z niewielu ulic Lwowa jeszcze nie przechrzczona. Wprawdzie część teraźniejszych plantów odpadnie pod budowlę, ale zyska na tem ulica, no i miasto. Utworzenie we Lwowie ogniska sztuki jest okolicznością nader ważną, bo koło niego nie tylko skupią się ci, którzy już w mieście naszem mieszkają, ale może przybędą i nowi. Z jednej strony przyczyni się to do ukształcenia smaku tutejszych „kołtunów" (tak się nazywa sławetne mieszczaństwo) i urzędników, a z drugiej nawiąże się jakiś duchowy stosunek między gromadką zamieszkałych w mieście malarzy a wykształconą publicznością. Lwów w sferach artystycznych pozyskał sobie nie osobliwą opinię. Nie brak tutejszej kolonii miernot, chociaż są i malarze bardzo zdolni

(D. n.)

Cho.

CEZAR CANTU.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Zdobył on sobie rozgłos wielki, tak dalece, że chyba nie ma w świecie cywilizowanym człowieka oświeconego, któryby o nim przynajmniej nie słyszał. A jednak gdyby ten jego rozgłos zważyć z wartością prac naukowych, nie mogłyby one usprawiedliwić pierwszego. Imię Cantu obijało się o uszy w szkołach, powoływali się nań różni historycy-kompilatorzy. Ale jeżeli będziemy oceniać pracę zmarłego pisarza pod względem jego twórczej samodzielności i poglądów, pierwszą znajdziemy w nim zbyt błahą, drugie — ciasne, skostniałe, przeżyte. Zwolennikiem jego u nas był Leon Rogalski, który przełożył największe z dzieł autora włoskiego, „Historyę powszechną," wydaną po raz pierwszy w trzydziestu pięciu tomach 1837 r. Wybitne zdolności i skłonność do erudycyi ujawnił bardzo wcześnie, gdyż w osiemnastym roku życia objął już katedrę języka i literatury włoskiej w liceum w Sodrio. Pierwsze zaś prace dwudziestoletniego młodzieńca, ogłoszone w r. 1828: „La lego lambardia" i „Storia della città di Como," zwróciły już powszechną uwagę na pisarza. Roku 1832 przeniósł się z Sodrio do Medyolanu i ogłosił dzieło p. t. „Storia lombardo del secolo XVII." Następnie rok cały przesiedział w więzieniu. W r. 1848, unikając aresztowania ze strony władzy austryackiej, uciekł do Turynu, gdzie objął redakcyę pisma „La Guardia Nazionale." W r. 1874 został dyrektorem archiwum lombardzkiego. Oprócz licznych prac w zakresie dziejów społeczno-politycznych i literatury, Cantu potrafił nieraz o inne dziedziny, napisał romans „Margherita Pastarla," który cieszył się takiem powodzeniem, że rozchwytano kilkadziesiąt wydań. Dzieło „Letture gioranele" miało przeszło pięćdziesiąt wydań. Działalność umysłowa zmarłego historyka nawskróś była przesiąknięta duchem katolicyzmu, szczególnie zaś wielka „Historya powszechna." Był przytem gorącym zwolennikiem władzy papieskiej. Wprowadził on jednak do dziejopisarstwa, jako pierwiastki historyozoficzne, geologię i nauki przyrodnicze. Cantu urodził się 8 grudnia 1807 r. w Bririo pod Medyolanem. Zmarł w m. b.

PAMIĘTNIK.

Pomnikowe dzieje.

Pomnik Mickiewicza w Krakowie daremnie czeka na swojego obrońcę, a tymczasem mnożą się zwolennicy radykalnych środków, którzyby usunęli obrzydłą figurę. Maluczko a znajdzie się jakiś Courbet, który zarzuci jej na szyję postronek i zwali. Niedawno radca miejski, Redyk, proponował, ażeby przynajmniej nakryto dziwoląga, gdyż... Szanowny radca nie dokończył swej myśli, ale my ją odgadujemy. Zauważył on prawdopodobnie, że w okolicy pomnika zmniejszył się ruch pieszy i kołowy, gdyż ludzie unikają przykrego widoku. Największe zaś niebezpieczeństwo widok ten przedstawia dla kobiet w poważnym stanie, które mogłyby zapatrzyć się na straszydło ze szprychami, wbitemi około głowy. Dla rozstrzygnięcia tej gorszącej sprawy ma się wkrótce zobrać grono „znawców" i osądzić, czy nieszczęśliwą postać należy zdjąć, czy też może ona sobie siedzieć bez złych skutków dla oglądających ją ludzi obojga płci. Kto będzie należał do tych znawców, nie wiemy, ale wiemy, kto do nich nie będzie należał, chociaż może, obok syna poety, przed innymi powołany być winien. Z wyjątkiem „komitetu budowy pomnika" znamy wszyscy człowieka, który niezmordowane zabiegi i znaczne środki poświęcił na zbieranie pamiątek po znakomitych poetach naszych. Od lat wielu zajęty temi poszukiwaniami, zgromadził wiele rzeczy cennych, a niektóre z nich (np. listy i dokumenty Słowackiego) posiada w bogatych i jedynych kompletach. On również odnalazł i bądź w oryginałach, bądź w kopiach ma prawie wszystkie portrety i wizerunki Mickiewicza; on głównie przyczynił się do ustalenia jego rysów w rozmaitych epokach życia, on dostarczył wskazówek i materyałów artystom (Horowitzowi, Andriollemu) do odtworzenia podobizny wieszcza, jemu zawdzięczamy wyobrażenie, jak Mickiewicz wyglądał. Tym zasłużonym człowiekiem jest Leopold Meyet, którego nie zaproszono ani do komitetu budowy pomnika, ani do grona „znawców," mających oceniać robotę p. Rygiera, pomimo że śród tych rzeczoznawców — oprócz syna poety — nie było i nie ma ani jednego, który byłby kompetentniejszym doradcą i sędzią. Jest to wypadek tak zabawny, że można go wytłomaczyć tylko naszym zwyczajem mianowania pewnych ludzi na wszelkie urzędy publiczne. Na nieszczęście natura jest uparta i nie stwarza „mężów do wszystkiego," których my ciągle hodujemy. Daje ona jednym talent poetycki, drugim — zdolność badawczą, innym — butę stanową, ale do tych rozmaitych darów nie przykłada nawet znajomości artyzmu i fizyognomii Mickiewicza. Właśnie skutkiem braku tej przykładki nie umiano sobie poradzić z projektami i kupiono za drogie pieniądze paskudną figurę, którą dziś trzeba „uprzątać" lub „nakrywać," bo nikt nie może znieść jej widoku. Dopóki ostatnie grosze ciężko zbieranego funduszu nie są

jeszcze zmarnowane, komitet powinien uzupełnić się ludźmi, którzy: 1) nie traktowaliby całej sprawy jako kłopotliwą przyczepkę do swych zajęć, lecz wzięliby się do niej z zupełną energią; 2) posiadaliby gust i gruntowną znajomość artyzmu pomnikowego; 3) wiedzieliby dokładnie, jak Mickiewicz wyglądał. Łapanie ludzi na ulicy lub ściąganie ich ze stosunków przyjacielskich dla złożenia garnituru „znawców," będzie miało ten skutek, że reszta pieniędzy pójdzie na niepotrzebne próby i albo rynek krakowski ozdobi się potworem, albo całe przedsięwzięcie utonie w błocie intryg i swarów.

Gwara warszawska.

Chociaż napomnienia pism i ludzi, dbałych o czystość języka, zwracane do prasy warszawskiej, przebrzmiewają bez echa, trudno czasem nie podnieść głosu wobec wybryków, które nie mają innego usprawiedliwienia, prócz lekkomyślnej swawoli. Liczne chwasty, zanieczyszczające nasz język, postanowił widocznie pomnożyć korespondent wiedeński jednego z *Kuryerów*, popisujący się mową, która po prostu drwi sobie z cech jakiejkolwiek swojskości. W kilkudziesięciowierszowym jego liście znajdujemy taki słowniczek: *deruta*, *gschnas*, *ponika*, *zenada*, *sensat*, *schneeballen*, *konsorcyum*, *machinacye*, *symptomaty*, *urwiener*, *zaprotokółowany*, *krugle*, *rostbrattel*, *sumituję się*, *con amore*, *ars paralitica*, *fin de siècle*, *kukurykuje* — nie licząc wyrazów obcych, powszechnie używanych. Zaiste, ten międzynarodowy kogut nie powinien tak u nas... kukurykować.

Bajka o dworcu centralnym.

Przebaczcie mi, czytelnicy, chcę wyspowiadać się przed wami z pewnego podejrzenia, które mnie prześladuje. Mianowicie od lat niepamiętnych czytam w pismach warszawskich mniej lub więcej stanowcze zapewnienia, że szpital Dzieciątka Jezus wraz z należącymi doń placami ma być nabyty przez kapitalistów francuskich, oraz że w Warszawie ma być wzniesiony dworzec centralny, łączący wszystkie drogi żelazne. Wiadomości te co pewien czas wynurzają się i nikną, jak węże morskie. Otóż ponieważ tysiące ludzi zaprzysięgły, że widziały te węże, a jednakże nikt w ich istnienie nie wierzy, czy coś podobnego nie zachodzi ze szpitalem i dworcem centralnym? Czy one nie są wymysłem reporterów? Tyle już na tych sprawców wzruszeń naszych nagadano, że nie chciałbym ich obrażać niesprawiedliwie, a z drugiej strony natrętnej myśli niczem odpędzić nie mogę. Bo trudno przypuścić, ażeby miasto, liczące pół miliona mieszkańców, ruchliwe i handlowe, którego dworce leżą na przeciwległych punktach i w którem kolej obwodowa jest jakąś bohaterką legendy, przez długi szereg lat filozofowało nad tem, że byłoby pożytecznie połączyć linie dróg żelaznych w jednym węźle. Nie wierzę temu. Prawdopodobnie brak mu ludzi, zdolnych opracować plan takiego przedsięwzięcia i kapitałów, potrzebnych na wykonanie go, a skutkiem tego wcale nie myśli o gruszkach na wierzbie. Gdyby posiadało pierwszych i drugie, z pewnością wzięłoby się natychmiast do roboty, bo zbyt wyraźne ma przykłady jego korzyści w miastach zagranicznych. Boże, Boże, co ten człowiek gada! — zawołają wtajemniczeni w tę sprawę, którzy może znają inne jeszcze przyczyny zwłoki. Szanowni obywatele, nie dziwcie się mojej niewiadomości, bom nie tutejszy, niedawno przyjechałem z Anglii, a historyę dworca centralnego studyowałem z pism warszawskich nad Tamizą. *W. W.*

Spuścizna po Redlichu.

Po znakomitym sztycharzu pozostały rozmaite rysunki (nieznane) i płyty, których nikt nabyć nie chciał i z których wraz z innemi jego dziełami ma być urządzona wystawa. Owszem, obejrzymy ją, zwłaszcza jeżeli będzie oświetlona elektrycznością i jeżeli na niej grać będzie bodaj katarynka. Ale co do rozprzedaży — próżne marzenie! Nigdy nie byliśmy zapalczywymi miłośnikami tych rzeczy, a teraz tem mniej. Bogate mieszczaństwo nabywa utwory artystyczne tanie lub głośne; szlachta częścią obsiadła urzędy Towarzystwa kredytowego, dróg żelaznych i tramwajów i zalodwie w nekrologach „b. dziedziców dóbr" korzysta z dawnych majątków, częścią biedę klepie na wyjałowionym zagonie, częścią zaś myśli o tem, jakby zdobyć bodaj jednego konia rasowego i założyć stajnię wyścigową. Więc kto ma kupować obrazy i płyty sztycharskie? Co najwyżej możemy złożyć ślub najuroczystszy, że gdy za 50 lub 100 lat niemcy zechcą przywłaszczyć sobie Redlicha dla swej Walhalli, my wystąpimy wszyscy jako jeden mąż w obronie ziomka i nie pozwolimy go wydrzeć chwale ojczystej. Tej przysięgi święcie dotrzymamy — na więcej nas nie stać. Kto dziś je ostrygi!

Pod właściwym adresem

Odbieramy list następujący:

Wielmożny Redaktorze!

„Pięć lat z górą pracuję w Tyflisie jako handlowiec i reprezentant firm warszawskich, niegorsze robię obroty i jestem jedyny polak tu pracujący w tym zakresie; znają mnie najpoważniejsze firmy, a przecież Tow. pop. rusk. przem. i handlu z niczem dotąd do mnie się nie odwołało, jakkolwiek w pierwszych latach mojego tu pobytu sam mu się ofiarowałem z gotowością do wszelkich usług.

Nie pojmuję więc, w jaki to sposób Towarzystwo popiera handel?

G. Mularski.
b. urzęd. d. ż. Warsz.-Teresp."

Autor prosi nas, ażebyśmy jego pytanie ogłosili lub na nie odpowiedzieli. Więc ogłaszamy, ale odpowiedzieć nie umiemy.

Pracownicy aptekarscy.

Istnieje u nas Towarzystwo farmaceutyczne, które zupełnie się różni od wielu innych instytucyj, służących dla odrębnych grup pracowników i przedsiębiorców. Panuje w niej atmosfera piwnic aptecznych, gdzie ani światło, ani powietrze nie dochodzi zewnątrz. To też pracownicy-farmaceuci i ich sprawy zajmują tam najciemniejszy i najmizerniejszy kącik. Więc jeżeli kwestya ich bytu od czasu do czasu wypływa na porządek dzienny, to z pewnością nie z sali posiedzeń. Jak zaś właściciele aptek ubodzy są w czyny, zasługujące na uznanie, dowodzi to, że jeśli jeden z nich urządzi latem dla swych pracowników wakacye trzy lub pięciodniowe, bez potrącenia zapłaty, natychmiast reporterya obwieszcza to, jako objaw filantropijny, „ojcowski." Obecnie nowy czyn tego rodzaju wciągnięto już do „wielkich zasług obywatelskich zarobkodawcy" i do „prawdziwie ojcowskiej opieki" nad gromadką, oddaną na jego usługi. Oto pewien przedsiębiorca wprowadził zmianę, polegającą na tem, iż pracownicy są zajęci w aptece od 8-ej rano do 8-ej wieczór, lecz za to nie mają tak zwanej „wychodni" w dzień powszedni, a natomiast wolne święta. Nocne zajęcia i pracę świąteczną objęli dwaj kursiści. Ulga istotnie bardzo ważna wobec tego, że po 12-godzinnych trudach farmaceuci będą mieli przynajmniej noc na właściwy użytek. Zmiana owa wszakże spada ciężarem na tych, którzy muszą po nocy nieprzespanej słuchać wykładów uniwersyteckich w dzień i uczyć się. Nie tak więc są wielkie zasługi poczciwego aptekarza, jak mu naiwni przypisują. O tyle wszakże sam fakt godzien uwagi, że chociaż słabo ujawnia skłonność do reformy warunków pracy w aptekach. O tem, że musi ona wogóle uledz zmianie, już kilkakrotnie mówiono w sferach prawodawczych a najmniej śród właścicieli aptek; a więc być może doczekamy się owego znamiennego bodźca—rygoru, który zwykle tam gospodaruje, gdzie dana grupa społeczeństwa nie czuje sama ciężących na niej obowiązków. *—r.*

Odczyty na prowincyi.

Gdzie wszelkie koncerty, rauty, przedstawienia amatorskie na cele dobroczynne, są czynnikiem rozdrażnienia towarzyskiego, gdzie pani adwokatowa nie pójdzie na zabawę lub nie wystąpi na estradzie, bo się zetknie z nienawistną współzawodniczką, panią doktorową, tam nowy czynnik, odczyty—jako źródło zasiłków materyalnych i pożyteczne zapełnienie czasu, jest zjawiskiem bardzo pożądanem. Po pierwsze odczytu nie wygłosi ani pani adwokatowa, ani doktorowa, nie będzie więc oliwy na ogień koteryi zaściankowej; powtóre słuchanie wykładu będzie przez godzinę trzymać na wodze narzędzie bardzo ostre i niebezpieczne tam, gdzie panie „z towarzystwa" najbardziej lubią go używać: na salach wspólnych zebrań. Gdy więc broń ta, zasznurowana ustami, lub zamknięta na dwa rzędy zębów, będzie spoczywać w spokoju, uwaga z błahostek codziennego życia przejdzie na przedmiot, który przynieść może pewien pożytek umysłowi. Jeszcze niedawno odczyty w miastach prowincyonalnych były zjawiskiem dorywczem, nadzwyczajnem. Ktoś ze znanych prelegentów warszawskich, zachęcony powodzeniem, przyjmował zaproszenie w Piotrkowie, Radomiu, Lublinie i tam powtarzał swój wykład publiczny. Obecnie dorywczość ta znika. Łódź np. zaprosiła kilku tutejszych prelegentów do wygłoszenia na cele dobroczynne całej grupy odczytów. O ile nas pamięć nie myli, zdarza się to po raz pierwszy. Ale, co bardziej jeszcze zasługuje na uwagę, że nawet taka mieścina, jak Sochaczew, zdobyła się na wykład publiczny, mianowicie p. Adam Grabowski na korzyść budowy szpitala wygłosił przed paru dniami rzecz „Z dziejów ziemi i człowieka," osnutą na geologii i antropologii. Wobec tego zwrotu znamiennego w dążeniach inicyatorów i zapewne — upodobania publiczności, należałoby najskrupulatniej ten grunt wyzyskać, tj. organizować serye odczytów z pewnym systemem, doborem treści ponętnej, urozmaiconej i jednocześnie zdatnej dla uzupełniania wiedzy dyletanckiej oświeconych mieszkańców prowincyi, lub dla pobudzenia ospałych do pracy a przynajmniej „rozrywki" umysłowej, która mogłaby oderwać od winta albo poziomego zaprzątania się plotkami zaścianka. Ze wszystkich sposobów zasilania kasy filantropijnej przez gromadzenie publiczności w salach, ta jest najsympatyczniejsza, bo przynosząc pożytek materyalny wydziedziczonym przez losy biedakom, a umysłowy słuchaczom, jednocześnie nie naraża tych ostatnich na wydawanie sum znacznych w celach dekoracyjnych, od których drobne odsetki idą na rzecz filantropii. Przeciwnie — tym razem cała składka, tj. cena biletu, z potrąceniem kosztów wynajęcia sali, idzie do kalety dobroczynności publicznej. *—z.*

W DALI.

Radom. Ze względu na przewidywany liczny zjazd kupców i hodowców koni, postanowiono termin jarmarku świętojańskiego przyspieszyć. Na wniosek p. Helbicha wyznaczono nań 18, 19 i 20 czerwca. — Do miejscowego oddziału Banku państwa nadeszło niedawno pozwolenie p. ministra skarbu na przyjmowanie w zastaw bawełny. Będzie to ogromne udogodnienie dla wytwórców tej gałęzi gospodarki.

Piotrków. Według najświeższego sprawozdania, miejscowe Towarzystwo dobroczynności dla chrześcian liczyło członków 145. Fundusze z początkiem roku ubiegłego wynosiły 68,351 rs. Ogólna suma dochodów 6,906 rs., rozchodów 5,698 rs. Instytucya ta opiekuje się. ochronką „Rodziny Adeli." kuchnią tanią, ochronką miejską, tymczasową ochroną dla chłopców i domem pracy. Warsztaty tkackie, także pod opieką Towarzystwa dobroczynności, będą z d. 1 lipca zamknięte. — Sąd okręgowy piotrkowski na sesyi w Będzinie skazał lekarza, Hipolita Przanowskiego (w wieku lat 33) na osiedlenie w gub. tomskiej lub tobolskiej, z pozbawieniem szczególnych praw i przywilejów, za to, że będąc pomocnikiem naczelnika oddziału sanitarnego, zaczął swoją działalność od pobierania wynagrodzeń pieniężnych za uwalnianie osób interesowanych od wykonywania rozporządzeń komisyi.

Płock. Miasto zaczyna, na wzór wielkich rojowisk ludzkich, wprowadzać niezbędne urządzenia. Po wodociągach przyszła kolej na telefon, w który zaopatrują się wybitniejsze instytucye, a zapewne wkrótce wejdzie w powszechne użycie, abonenci zaś niewątpliwie będą się cieszyć większemi ulgami niż w Warszawie, tj. zamiast 150 rs. rocznie płacić będą 50—75. Tak przynajmniej spodziewać się należy na podstawie przykładów w innych miastach, boć telefon, jako niezbędny środek komunikacyjny w okresie wielkiego rozwoju cywilizacyi i kultury, nie może być, jak w Warszawie, przedmiotem zbytku.— Od 1 marca istnieje już w Płocku spółka firmowo-komandytowa. Według ustawy, prowadzi ona wszelkie sprzedaże ziarna, ułatwia ziemianom tranzakcye i pożyczki, udzielane przez Bank państwa. Między innemi posiada na składzie nasiona wszelkie tudzież maszyny rolnicze, sprowadzane z zagranicy: Zamówienia na te przedmioty płyną obficie. Firmowi przedstawiciele spółki rozporządzają obecnie kapitałem dwudziestu kilku tysięcy rs. Powodzenie zatem odrazu się zaznaczyło. Oby ono było stałe i innych ziemian w kraju zachęciło do naśladownictwa!— Pomimo, że sezon pożarów jeszcze dość daleko, już klęska ta czyni spustoszenia. Przed paru tygodniami we wsi Bądkowo-Rachny (pow. lipnowskim) spłonęło 13 stodół włościańskich. Przyczyną wypadku, jak powiadają, było podpalenie. We wsi Mniszewo-Murowane spaliła się owczarnia wraz z owcami. Tymczasem o zapowiadanej organizacyi straży wiejskich jakoś nie słychać.

Ryga. W politechnice miejscowej odbyła się wystawa robót dyplomowych. W tym roku na początek ugrupowano tylko przedmioty chemiczne; w dalszym zaś ciągu będą wystawione prace agronomów, inżenierów, architektów, mechaników. Między innymi roboty swoje wystawili pp.: Krajewski, Kaiserstein, Krassowski, Robakowski, Sobolewski i Stępkowski. O reformie politechniki mówią coraz głośniej. Przypuszczają, iż zamieniona będzie na Instytut technologiczny, na wzór petersburskiego i charkowskiego.

Kijów. Obserwatoryum meteorologiczne przy uniwersytecie miejscowym postanowiło zorganizować badania zjawisk peryodycznych w świecie roślinnym i zwierzęcym w związku z meteorologicznemi i zaprasza do udziału wszystkich interesujących się tą sprawą. Badania prowadzone będą w następującym zakresie: czas zasiewu, kiełkowania, kwitnienia i zbioru roślin zbożowych, kartofli, buraków cukrowych, pora kwitnienia i dojrzewania owoców, roślin trawiastych, pora rozwijania się pączków, kwitnienia, dojrzewania owoców i opadania liści z drzew i krzewów, pora przylotu i odlotu ptaków, pojawianie się owadów itd. Obserwatoryum przygotowało w tym celu odpowiednie szematy drukowane, które wysłane będą osobom, pragnącym zająć się notowaniem spostrzeżeń. Rezultaty w formie map, szematów graficznych ogłoszone będą w r. 1896. Wiadomość tę podał już *Prawit. Wiest.*

Tyflis. Korespondent *Kuryera warsz.* podaje kilka szczegółów o gospodarce i zabiegach około rozwoju katolickiego Towarzystwa dobroczynności w Tyflisie. Stałym prezesem jego jest ks. Baranowski, proboszcz parafii św. Piotra i Pawła. Na mocy ostatnich wyborów do zarządu należą pp. Karol Domański, lekarz; Serafin Jastrzębski, prowizor farmacyi; Piotr Kimont, dr. med.; Julian Lawdański, inż.; Jan Minkiewicz, dr. med; Andrzej Montwiłł, dr. med.; Bruno Ogulewicz, adw. przys.; Konstanty Waniorski, inż.; Mikołaj Wojcicki, kom sądowy. Zastępców nie wybierano, ponieważ ustawa tego nie wymaga. Do komisyi rewizyjnej należą pp.: inż. Teodor Balukiewicz, inż. Artur Berezowski i inż. Seweryn Nowomiejski. Na posiedzeniu d. 2 marca nowy zarząd wybrał na sekretarza p, K. Waniorskiego, na kasyera p. K. Domańskiego. Fundusze Tow. zwiększyły się w ostatnich czasach. Przedstawienie w teatrze rządowym, dzięki staraniom i zabiegom baletmistrza miejscowej trupy teatralnej, p. Wacława Adlera, przyniosło ogółem 541 rs 10 kop.; po strąceniu kosztów w sumie 226 rs. 85 kop., dochód czysty dał 314 rs. 25 k., które p. W. Adler, pragnąc dobrym uczynkiem opamiętnić swój pobyt w Tyflisie, ofiarował Towarzystwu na rzecz ubogich. Przedstawienie amatorskie, urządzone d. 16 lutego w Towarzystwie artystycznem, dało dochodu czystego rs. 329 k. 55.

Odesa. Miejscowe Towarzystwo techniczne urządza wystawę architektoniczno—dekoracyjną, która obejmuje następujące działy: materyały budowlane, wyroby ciesielskie, stolarskie, tokarskie, ślusarskie itp., do celów budowlanych, umeblowanie mieszkań, oświetlenie, ogrzewanie, wentylacya i różne urządzenia hygieniczne w domach, przyrządy ratunkowe na wypadek pożaru w mieszkaniach, plany, rysunki, modele oraz różne projekty gmachów i dekoracyj mieszkań. Wystawa będzie trwać od 27 maja do 13 października; termin zaś przyjmowania deklaracyi upływa z dn. 28 marca. Warszawcy budowniczowie i przemysłowcy otrzymali zaproszenia, więc we własnym interesie powinni zasilić wystawę; może ona bowiem stać się pośrednikiem w wyrobieniu rynków zbytku dla wielu przedmiotów tudzież—pracy dla uzdolnionych fachowców.

Petersburg. Gazety miejscowe powtarzają uporczywie krążące pogłoski o mianowaniu hr. Deljanowa na kanclerza państwa, p. N. Szyszkina na posła w Konstantynopolu, p. Bützowa, obecnego posła w Persyi na pomocnika ministra spraw wewnętrznych i p. Nelidowa — na posła do Wiednia. — Generał Werder otrzymał w tych dniach nagłe odwołanie ze stanowiska posła niemieckiego w Petersburgu. Fakt ten zdarzył się zupełnie niespodzianie, gdyż, jak donosi *Swiet*, poseł zamierzał wkrótce dać obiad dyplomatyczny. Depesza *Now. Wr.* z Berlina wymienia jako następcę — hr. Herberta Bismarka. — Główny zarząd kolei Południowo-Zachodnich będzie przeniesiony w czerwcu do Kijowa. — Sroży się w stolicy influenza niezwykle silna. Skutkiem tego wszyscy lekarze miejscy otrzymali pomocników, a właściciele aptek na gwałt poszukują prowizorów. Według zapewnień *Birż. Wied.*, sprowadzeni z różnych miast pomocnicy aptekarscy pobierają wynagrodzenia od 150 do 300 rs. miesięcznie. Zakrawa to na bajkę. — Otwarto na Newskim Prospekcie wystawę artystyczną (*des refusés*). Między innemi jest tam znany z wystawy konkursowej w Warszawie obraz Ciąglińskiego p. t. „Tęsknota, czyli Marya Potocka w Bachczy-seraju"; nadto Piotrowicza „Jarmark." Mazurowskiego „Na polowaniu," Madeyskiego „Jan Matejko" (rzeźba), Celińskiego biusty. — Wystawa drukarska budzi powszechne zajęcie. Oddział warszawski bogaty i ciekawy.

SPRAWY EKONOMICZNE

„ORGANIZM EKONOMICZNY."

I.

Stałe niedomagania rolnictwa wywołały w ostatnich czasach niezliczone mnóstwo „środków zaradczych..." w projektach. Jedne są zbudowane wprost naiwnie, drugie misternie, wreszcie inne przedstawiają piękne obrazy w szerokim rozmachu. Wszystkie zaś razem wzięte są „niezawodną dźwignią," „radykalnym sposobem ratunku" Należy tylko obliczone kombinacye wprowadzić w czyn, a podziurawiona, połamana i zardzewiała machinerya pójdzie szybko i gładko, dobrobyt powstanie i wzrośnie, wszelkie złożone, utrudniające rozwój zagadki i czynniki ekonomiczne prysną, co najmniej jak orzech w palcach atlety.

Do szeregu wielu przybywa obecnie jeszcze jeden pomysł szeroki, który ma uwolnić produkcyę rolną z zależności (a przynajmniej zmniejszyć ją) od rynku wszechświatowego i wprowadzić idealną technikę. Projektodawca, p. Jan Owsiński, proponuje olbrzymie przedsiębiorstwo, które skupiłoby w jedno ognisko mnóstwo gałęzi wytwórczości. W razie zupełnego zastoju ekonomicznego urządzenie takie, zdaniem autora, może przetrwać nawet najdłuższe przesilenie ekonomiczne, gdyż uczestnicy przedsiębiorstwa będą mogli zadowolnić wszystkie potrzeby swoje, rodzin i robotników własnymi produktami, *nic nie kupując i nie sprzedając na rynku*. W tym celu należy połączyć wielkie różnorodne fabryki i wielkie gospodarstwa rolne w jedną całość, która stanie się „radykalnym środkiem przeciw kryzysom ekonomicznym." Przyjrzyjmy się szczegółom tego projektu (drukowanym w *Rolniku i hodowcy*).

Zadaniem Towarzystwa akcyjnego — „Organizm ekonomiczny," jest: *a*) jaknajtańsze wytwarzanie towarów w jaknajlepszym gatunku; *b*) zabezpieczenie wytwórczości od bankructw i przesileń, powodowanych zależnością od rynków i współzawodnictwem, a tem samem zapewnienie stałych dochodów akcyonaryuszom i stałej pracy robotnikom. „Ponieważ produkcya może być tanią i doskonałą tylko wtedy, gdy jest prowadzona na wielką skalę, przeto w organizmie ekonomicznym mogą istnieć tylko wielkie fabryki i wielkie gospodarstwa rolne. Drobne zakłady przemysłowe i gospodarstwa (chłopskie), nie są dopuszczane, z wyjątkiem przyległych." Minimum ziemi w samodzielnych gospodarstwach, nadających się do „organizmu ekonomicznego," wynosi 400 morgów. Ponieważ przyczyną przesileń i bankructw jest zależność produkcyi od rynku wszechświatowego, więc dla jej usunięcia Towarzystwo produkuje najtaniej, dzięki wielkim fabrykom i surowym materyałom, nie kupionym na rynku, a wytworzonym we własnych wielkich gospodarstwach rolnych. Organizm ekonomiczny ma do sprzedania nie jeden produkt a kilkanaście z rozmaitych fabryk i gospodarstw; może więc na rynku sprzedawać tylko te wytwory, które się opłacą, a przetrzymać do lepszych cen inne. Robotnicy otrzymują za swą pracę mieszkanie, żywność, odzież, nadto, stosunkowo do zarobku— zapłatę pieniężną po odtrąceniu kosztów wybranych przedmiotów.

„Ponieważ długość dnia roboczego—mówi p. Owsiński—zależy od walki konkurencyjnej, która zmusza kapitalistów do zwiększania liczby godzin pracy pod groźbą bankructw, przeto jedynie w organizmie ekonomicznym, mniej zależnym od konkurencyi, robotnicy mogą mieć nadzieję polepszenia losu przez zmniejszenie godzin i liczyć na stałość pracy, przez co byliby wynagrodzeni za zgodzenie się na pobieranie zapłaty nie gotówką a produktami." „Organizm ekonomiczny" ma się składać z fabryk następujących: młyny, cukrownia, fabryki: sukna, płótna, garbarnia, zakłady krawieckie, fabryka obuwia maszynowego, worków, warsztaty mechaniczne, olejarnia, mydlarnia, fabryka papieru, wyrobów porcelanowych, huta szklana itd. Zakłady te mają przybywać stosownie do potrzeb i z biegiem czasu. Od-

powiednia ilość gospodarstw rolnych dostarcza surowych materyałów: wełny, włókna lnianego i konopnego, skór, buraków, zboża itd. Wszystkie te fabryki i rolnictwo są ściśle związane w jedną całość. Towarzystwo kupuje ziemię na własność lub bierze w dzierżawę, udziela właścicielom ziemskim, w razie potrzeby, zaliczki na uregulowanie ciężarów majątkowych. Fabrykanci mogą przystąpić do związku, zamieniając gotowe fabryki (wielkie) na akcye organizmu ekonomicznego. Pojedyncze związki tworzą grupę, dla której będą dostępne wielkie zakłady przemysłowe, jak: kopalnie, fabryki parostatków, maszyn parowych itd. Grupy organizmów ekonomicznych zachowują solidarność na wypadek pożaru, nieurodzaju, gradobicia, co zastąpić ma asekuracyę. W łonie tej organizacyi istnieją: lecznice, niższe i średnie szkółki dla dzieci uczestników, stosownie do przepisów prawnych. Grupy organizmów ekonomicznych mogą mieć wyższe szkoły fachowe.

Oto jest mniej więcej zasadnicza treść pomysłu, który projektodawca opatrzył uwagami i zastrzeżeniami. Dodaje, że idea organizmu ekonomicznego niema żadnej łączności z dotychczasowymi programami socyalistów. Prawo własności również pozostaje nienaruszonem. Myśl zapłaty robotnikom produktami na pozór przeciwna prawu, „w samej rzeczy jest z niem zgodna, gdyż taka forma wynagrodzenia może być wprowadzona za zgodą pracowników." Na dowód autor przytacza istniejący dziś taki sposób w piekarni dostawcy dworu, Filipowa, w Petersburgu, tudzież zaniechany u nas zwyczaj dawania robotnikom wszystkim t. zw. „dochodu," tj. bielizny, odzieży i obuwia. Ponieważ „Organizm ekonomiczny"—mówi p. O.—ma wszelkie potrzeby, od żywności do odzieży, ze swych fabryk i gospodarstw, tudzież własne zakłady naukowe, zabezpiecza byt akcyonaryuszów, ich rodzin i robotników, więc nie potrzebuje śpieszyć się ze sprzedażą swych produktów po złych cenach, jak to bywa w dzisiejszych gospodarstwach pojedynczych, ze stratą i ruiną.

Nie wiem, czy wielu znajdzie się takich, którzy biorąc projekt powyższy w całej rozciągłości, nie nazwaliby go utopią. I dla tego zapewne Towarzystwo rolnicze w Kijowie, przyjęło go chłodno i lekceważąco. Autor znajduje środki niezawodne dla usunięcia tego, co przynajmniej w naszych czasach, nie da się wcale usunąć, tj. zależności produkcyi od rynku wszechświatowego, nawet przy możliwie największem zniżeniu kosztów wytwarzania, bo to sprowadza w dalszym ciągu zniżkę cen i skłania bez końca do nowych środków zaradczych. Nie szukając ich po drogach zawiłych, p. O. zmienia dotychczasowe warunki nieprzyjazne za pomocą swojej organizacyi; każe wszystko, co się wytworzy, spożywać wewnątrz, sprzedawać zaś tylko w wyjątkowo pomyślnych chwilach. Trzeba mu powinszować pomysłowości, szkoda tylko, że nie opartej na istotnych, realnych faktach życiowych, po wszechstronnem rozpatrzeniu wszelkich bardzo złożonych zjawisk wytwarzania i handlu. Projekt dopuszcza do udziału posiadaczów ziemi w rozmiarach najmniej 400 morgów. A czemże obdarza te miliony właścicieli drobnych? Ponieważ siła robocza rolna składa się wyłącznie z ludności wiejskiej, więc ci wykluczeni i nadal pójdą na zarobek do wielkich przedsiębiorstw, a za swą pracę odbiorą zapłatę przeważnie w naturze, tj. otrzymają to samo, co im daje własna ich gospodarka; prócz tego będą mieli rzemień, goździe, brony, sierpy, buty, czapki, kapoty, kożuchy, wódkę itd. Wobec tego grunt własny stanie się ciężarem wprost niemożliwym. Nie pozostanie więc nic innego, jak sprzedać ziemię „Organizmowi społecznemu" (szkoda, że na to prawodawstwo nie pozwoli) i oddać się wyłącznie wyrobnictwu za znacznie mniejszą niż dzisiaj zapłatę, gdyż wtedy podaż rąk, pomimo pomnożenia warsztatów pracy, zwiększy się niemożliwie; panowie zaś akcyonaryusze będą sobie piękną dywidendę pobierać. Ale zapewne znajdzie się sporo takich, którzy nie zechcą pozbywać się swej ojcowizny. Wówczas staną się spożywcami wytworów „Organizmu społecznego," tj. będą sowicie opłacać te „pomyślne chwile sprzedaży." To samo olbrzymia większość ludności miejskiej i wiejskiej, oddanej pracy po za ową organizacyą. Na szczęście jednak dla nich, wbrew przewidywaniu projektodawcy, „organizm ekonomiczny," choćby miał strusi żołądek, nie strawi sam tego, co wytworzy, a ponieważ dzięki wielkim kapitałom i udoskonaleniom technicznym, wzrośnie ogromnie ilość fabryk i wszelkich przedsiębiorstw, więc zapasy ich produktów nagromadzą się w takiej masie, że nawet nie będą mogły wyczekiwać „pomyślnych chwil." Powstaną przeto dobrze nam znane nadprodukcye i przesilenia, wbrew przepisom potwornego syndykatu—zabiegi o rynki obce, na których zawsze panować będzie towar wszechświatowy.

W jakiż sposób wejdzie w życie projektowana organizacya? O tem w pomyśle nie ma mowy, ale spróbujemy odtworzyć ten proces. Przypuśćmy, że pierwszy organizm ekonomiczny obejmuje tylko jedną gubernię, następnie jako grupy ogarnia drugą, trzecią, dziesiątą, do rozmiarów Królestwa Polskiego lub stosownej przestrzeni Cesarstwa; urządzenia takie bowiem na małych przestrzeniach nie mogłyby zmniejszyć swej zależności nawet od rynków sąsiednich. Powstają więc na terytoryum względnie minimalnem: przynajmniej jeden duży młyn parowy, cukrownia, fabryka nawozów sztucznych, narzędzi rolniczych, krochmalu, świec, sukna, płótna i worków, gorzelnia, dystylarnia, browar, fabryka przetworów owocowych, wyrobów nabiałowych, piekarnia, a dalej — jak chce autor: olejarnia, mydlarnia, garbarnia, zakłady krawieckie, fabryka obuwia maszynowego, papieru, wyrobów porcelanowych, huta szklana — no, tymczasem dosyć!

Wyobraźmy sobie teraz takiego wszechstronnego akcyonaryusza. Jeżeli będziemy liczyć *najmniejsze* akcye po 100 rs., musi on, jako uczestnik 22 fabryk, wnieść 2,200 rs., biorąc po jednej tylko akcyi. Jeżeli weźmiemy ogólną sumę akcyj każdej z powyższych fabryk przeciętnie tylko po 100,000 rs. *), otrzymamy 10,000 udziałów sturublowych, które, przypuśćmy, rozbierze najwyżej 440 kapitalistów, czyli po 500 rs. w stosunku do każdego zakładu. To samo więc czeka każdego większego rolnika, tj. musi on kupić akcyj ogółem za 1,100 rs., nie licząc posiadania własnego warsztatu—ziemi z całem urządzeniem. Spodziewać się może dywidendy np. 10%, czyli 11,000 rs., tj. mniej, niż daje jedna gorzelnia przy warunkach pomyślnych. Znaczną część tego dochodu będzie *musiał* wybrać w naturze i płacić w takiej samej formie robotnika. Ale co zrobi z porcelaną, szklankami, piwem, świecami, serem, papierem, które wcale nie są spożywane przez ludność robotniczą wiejską, a trudno przypuścić, ażeby cudownie szybki rozwój kultury zachęcił ich do tego. Zatem spożycie wewnętrzne wymienionych produktów obejmie 440 akcyonaryuszów danej grupy z rodzinami i garstką wyższych oficyalistów, co na ogół uczyni nieznaczną drobinę. Trzeba więc będzie wytwarzać talerze, szklanki, kieliszki, cukiernice itd., trzymać je lat dziesiątki na składzie w oczekiwaniu, aż jakiś kataklizm przyrody zacznie periodycznie przewracać wszystkie kredensy i w nich tłuc naczynia stołowe, albo np. zapanuje straszna epidemia, dająca się leczyć tylko serem. Ponieważ ani na jedno, ani na drugie wytwórcy nawet z najbujniejszą fantazyą liczyć nie mogą, więc pozostanie troska o rynki nietylko po za obrębem „organizmu ekonomicznego," ale obce, i zrodzą się związane z tem wszelkie następstwa. Wtedy dywidenda może spaść do połowy lub — zera.

Za daleko bym zaszedł, gdybym chciał wszechstronnie i szczegółowo rozpatrzyć utopię p. Owsińskiego. Po za mrzonkami wieloramiennej organizacyi, łączącej w rękach jednej zsolidaryzowanej rzeszy kapitalistów najróżnorodniejsze gałęzie produkcyi, tkwi w tym projekcie myśl przewodnia, którą można oddzielić od fantazyi i nadać jej formę realną. Mianowicie włączenie w zakres rolnictwa produkcyi fabrycznej, opartej na materyale surowym, czerpanym z ziemi, lub na przedmiotach, niezbędnych dla rozwoju techniki rolnej. Myśl pokrewną parę razy mimochodem rzuciłem w *Prawdzie* szkicowo, zaznaczyłem potrzebę wydobycia rolnictwa z niewolniczej zależności od innych potężnych dziedzin przemysłu i handlu. Obecnie część projektu p. Owsińskiego, względnie możliwa do urzeczywistnienia, daje mi sposobność zobrazowania pewnej kategoryi warunków i potrzeb rolnictwa.

Zen. Piet.

*) Przypuszczając tak skromną cyfrę przeciętną, mam na myśli większość wymienionych fabryk, których ogólna suma akcyj nie może wynosić więcej nad parę dziesiątków tysięcy.

WYSTAWA STAŁA PRÓB I WZORÓW.

Instytucyi tej w chwili jej powstawania wróżyliśmy wielki rozwój w przyszłości. Z programu zdawało się, że to będzie dźwignia handlu, sprężyna w jego machineryi, wyrzucająca na rynki dalekie nadmiar produkcyi. Przypuszczaliśmy, że stanie się nieocenionym pośrednikiem, ruchliwym, przedsiębiorczym, wszystkowidzącym i wszechwiedzącym. Omyliliśmy się nieco w nadziejach i rachubach. Uczestników na Warszawę i całe Królestwo Polskie jest tylko przeszło stu, a i z tej garstki może znaczna część nawet nie pamięta o istnieniu instytucyi pomocniczej do wywozu, skoro obecnie na ogólne doroczne posiedzenie przybyło ich... *kilku!* Nie mieli oni zapewne nic lepszego do zrobienia z wieczorem, więc odważyli się wysłuchać sprawozdania z „działalności," jeżeli tak można nazwać — dorocznej. Otóż głosi ono, że liczba wystawców nietylko nie wzrasta, lecz zmniejsza się nawet; to samo zjawisko spostrzegamy w liczebnych wykazach osób zwiedzających. W roku przeszłym było tych ciekawych z Warszawy 1,031, z prowincyi 365, z Cesarstwa 412, z zagranicy 31. Według kategoryi: kupców zwiedziło 356, fachowców 459, różnych zajęć 934. Dochody (najem miejsc i gablot, fundusz gwarancyjny na opłatę lokalu) wynosiły ogółem 2,758 rs. 75 kop., wydatki 2,789 rs. 75 kop. Do dochodu należą jeszcze składki zaległe. Między innemi przyczyną słabego rozwoju wystawy są nadzwyczaj małe jej fundusze, z których znaczną część pochłania lokal. Gdzieindziej tego rodzaju organy handlu cieszą się ogólnem poparciem; dopomagają im: rząd, miasta, giełdy, stowarzyszenia kupieckie. U nas stworzono — delegacyę, która wszędzie napotykając obojętność, łamie ręce i biada przed kilku słuchaczami, a w dodatku zapewne pyta siebie: po co i dla kogo tę wystawę stworzono?

Zdawałoby się z pozoru, że przy takim stanie rzeczy rynki krajowe najzupełniej wystarczają wytwórcom i kupcom tutejszym. W gruncie rzeczy jest inaczej: Skarżą się oni na zastój, brak zbytu i nadzwyczajną trudność istnienia. Jakże pogodzić

te dwa fakty? Zestawiając je, można przyjść do bardzo smutnych wniosków: rozwojowi organizacyi pośrednictwa wywozowego stoi na przeszkodzie wszechwładnie panujące niedołęztwo i pewnego rodzaju ślepota. Obszerne dalekie rynki wchłaniają obficie wszelką tandetę i to z tutejszego ogniska produkcyi, którego sławę podkopują, gdy kupcy i przemysłowcy rzetelni zapomnieli prawie zupełnie o istnieniu nowego pośrednika. Nawet jego słaba, dorywcza działalność przynosi pomyślne rezultaty i namacalnie przekonywa o nieocenionych usługach takiej organizacyi, należycie rozwiniętej i zrozumianej. Tak np. dzięki wysyłaniu katalogów do Cesarstwa, niektóre firmy, uczestniczące w wystawie, zawiązały stałe stosunki z dalekimi rynkami jedynie tą drogą. Dodajmy, że te katalogi nie odpowiadają jeszcze istotnym potrzebom, że nie dają dokładnego pojęcia o wartości towarów, co można wytłomaczyć chyba tem, że umiejętnie i wyczerpująco ułożone wskazówki także wymagają znacznego nakładu, który jednak dałby się pokryć z lichwą.

Delegacya nieszczęśliwa robi co może; zajęła się sprawą spisu fabryk Warszawy i okolicy, tudzież urządzenia wystaw stałych w różnych ogniskach nad Wołgą. No, i zabiegi te nie przyniosły żadnych owoców. Spis nie udał się z braku możności zdobycia wiarogodnych danych statystycznych, posterunków odległych nie urządzono, bo kolej Riazańsko-Uralska nie wyłuszczyła jasno warunków i zapewne nikt się nie znalazł, ktoby mógł tę jasność wydobyć osobistymi zabiegami na miejscu, pomimo że obecnie przy systemie taryf strefowych podróż nie byłaby kosztowną. Wreszcie delegacya zajęła się ułatwieniem uczestnictwa w wystawie niższonowogrodzkiej; i tu dobre chęci i zabiegi w znacznej mierze rozbiły się o bezwładność naszych przedsiębiorców i kupców. Zarząd wystawy stałej zamówił 500 arszynów kwadratowych przestrzeni dla fabryk małych i rzemieślników warszawskich i chyba sam na tem zarobi, gdy w ostatniej chwili będzie musiał odnająć ową przestrzeń obrotniejszym przedsiębiorcom z Uralu albo Irkucka, bo nasi dotychczas nie spieszą ze składaniem deklaracyi. Zapewne nikt nie zdołał ich przekonać, że Niższy Nowogród, tak ważne dla całego państwa ognisko handlowe, za pośrednictwem wielkiej wystawy da możność zapoznać się milionom spożywców z towarami, pochodzącymi z najdalszych krańców Rosyi; że tam przybywają stale po zakupy hurtowi handlarze z miejscowości, odległych nawet o pięć lub sześć tysięcy wiorst.*)

Co na to poradzić? Gdy wół leniwy odmawia posłuszeństwa chłopu podolskiemu, smaruje mu on czułe miejsca terpentyną, co tak dalece skutkuje, że chcąc następnie dogonić ospałe zwierzę, musi sobie posmarować czułe miejsca tym samym środkiem. Nie wiem, czy nawet ten sposób z humorystycznej opowieści ludu zdałby się na co naszym przedsiębiorcom. Dla nich należałoby założyć szkołę przemysłowo-handlową, niebywałego dotąd typu, tj. taką, w której między innemi wykładanoby geografię handlową, także w tem znaczeniu nieistniejącą; zapoznawanoby nieświadomych kupców i wytwórców z warunkami i wymaganiami rynków odległych, z potrzebami i gustem ich spożywców, gdzie wreszcie gimnastykowanoby energię i wyrabiano rzutkość. Czegóż można wymagać od naszych przedsiębiorców, których większość nie ma nawet pojęcia, gdzie leży Kijów lub Odesa, ile wiorst dzieli te punkty od Warszawy? Cóż mówić o miejscowościach poduralskich o krajach zakaukazkich lub zakaspijskich? Wobec takiej potwornej ciemnoty stała wystawa prób i wzorów nie może sobie dróg namacać, stać się takim organem potężnym, który miałby własnych agentów, utrzymywanych wspólnie przez członków. Tego rodzaju ludzie powinni mieć niepospolitą rzutkość, energię i dar spostrzegawczy; powinni zapoznawać się z warunkami, potrzebami i kulturą mieszkańców odległych, słowem — stać się zdrowemi kuleczkami krwi w arteryach organizmu przemysłowo-handlowego. Takich ludzi i urządzeń instytucya powyższa nie posiada nietylko w praktyce, lecz nawet programie.

Drog.

*) Jednym z faktów, potwierdzających bezwładność naszych kupców i przedsiębiorców, jest list z Tyflisu, umieszczony na innem miejscu niniejszego numeru *Prawdy*.

— Z powodu ciężkiego położenia rynków zbożowych, ministeryum skarbu wysłało agenta handlowego kol. Południowo-Zachodnich, Magnera, za granicę dla zbadania warunków wywozu zboża rosyjskiego. Delegat zwiedził Berlin, Amsterdam, Antwerpię, Londyn, Liwerpool, Paryż, Marsylię, Genuę i na mocy spostrzeżeń zebranych przyszedł do wniosku, sprzecznego z dotychczasowem mniemaniem, jakoby Europa nie potrzebowała zboża rosyjskiego. Potrzeba ta jest wszędzie widoczna, tylko w nierównym stopniu.

— Najwyżej rozkazano zwolnić od opłaty stemplowej prostej i proporcyonalnej wszelkiego rodzaju akty, dokumenty i papiery na tranzakcye, zawarte przez ministeryum skarbu i uwierzytelnione przez nie osoby i instytucye, na zakup zbóż, ich przechowanie, sprzedaż, tudzież zastosować to rozporządzenie do operacyj zakupu żyta i mąki od gospodarzy rolnych na potrzeby zarządów wojennego i więziennego.

— Departament handlu i rękodzieł wyprawi na ocean Spokojny ekspedycyę dla zbadania wyspy św. Jana i innych, gdzie jest bogaty połów fok.

— Ministeryum skarbu poruszyło sprawę zawiązania ściślejszych stosunków handlowych ze Stanami Zjednoczonemi Ameryki północnej.

O PRAWDĘ.

Z powodu art. „Plamy na słońcu.“

Pan Napoleon Rouba, obwiniając ziemian o złą administracyę swoich folwarków, moralizuje... nieboszczyków. W istocie, było tak kiedyś, ale nie jest. Kto dziś na średniej własności ziemskiej trzyma kucharza, lokaja, chłopca kredensowego i t. d. i kogo teraz te „pozycye“ rujnują? Być może, trafiają się wyjątki, ale przecież dla wyjątków artykułów się nie pisze.

Zapewne te same, tylko jeszcze rzadsze wyjątki dają ludziom na ordynaryę źle oczyszczone zboże; ogół ziemian oddziela ziarno czyste na młynku i na przetakach, *przez żony parobków* starannie podsiane. Rolę pod kapustę, kartofle i len daje się znawożoną, paszę dla krowy zimą i latem, w jaką obfituje folwark i jaką dostaje zwyczajne bydło dworskie.

Zaznaczywszy powyższe fakty, jakkolwiek bez upoważnienia, jednak w imieniu ziemian oświadczam, że w obecnych warunkach gospodarczego bytu: ani jednego łuta zboża, ani jednej kopiejki rocznych zasług służbie folwarcznej dołożyć nie możemy, a to dla tej przyczyny, że sami nie mamy co jeść. Nie przeczę, że los rodziny parobka bywa niekiedy bardzo smutnym, jednak wartość pracy jego w najlepszym razie znajduje się w prostym stosunku do wynagrodzeń przez pracobiercę dawanych. Podniesienie dotychczasowej płacy wkraczałoby w dziedzinę rujnującej ziemian filantropii, której żadne sądy i kontrole społeczne nie mają prawa wymagać, tembardziej, jeżeli powyższe zjawisko przedstawia się jako następstwo pewnych wad i niedojrzałości gospodarstwa społecznego, za którą obwiniać jedną tylko warstwę w narodzie—któż się ośmieli? Jestem właścicielką 11 włók ziemi średniej, o żadnych tedy „cugantach, ochmistrzyniach“ itd. marzyć mi nie wolno; jednakże jako posiadaczka choć niewielkiego zasobu, sądzę, że mam większe prawo do korzystania z wygód i dobrodziejstw społecznych, aniżeli mój Bartek fizyczną tylko i jednostkową żywiący siebie pracą; jedyny wszakże wybryk, na jaki sobie pozwalam, jest trzymanie bony, prenumerata *Prawdy* i od czasu do czasu nabycie jakiejś upatrzonej i zdawna upragnionej książki. Czyż to jest renta, za którą razem z innymi mam dźwigać zarzut *„ohydnego“* wyzysku sił roboczych? Autor artykułu udowadnia jeszcze swój zarzut długością dnia roboczego—15 godzin i 33 minuty!— woła oburzony. Ach, Panie Rouba, łopata i widły to nie machina parowa, wymagająca ustawicznej czynności umysłu i rąk robotnika; nasi najemnicy wypoczywają zawsze, wielekroć czują się znużeni i nikt im tego nie broni; praca ich jest swobodną, nie krępuje im ruchów, nie odbiera samodzielności, a czystość powietrza, wesoły śpiew ptasząt i szerokie przestrzenie ukwieconych pól, jakże krzepią siły a nawet i ducha wiejskich pracowników naszych. Wyobrażam sobie ich zdziwienie, gdyby tak p. Rouba zjawił się pomiędzy nimi i nakazał zejść z pola na mocy ograniczenia godzin pracy. Przedewszystkiem spojrzeliby po sobie, a potem na niebo i odpowiedzieliby tak: „Kiej trza duchem pszenicę zwieść, bo jakosik się pomładza; jak w nocy lunie deszcz, to pszenica porośnie.“ Wymowny argument! Nie, p. Rouba, dopóki nie ulegną zmianie dotychczasowe metody produkcyi, dopóki będziemy zależni od deszczu, gradu, chłodu i burz, dopóki nie ujarzmimy praw fizycznych świata i nie nagniemy ich siłą bezwzględnej wiedzy do celów i pożytków naszych, dopóty od wschodu do zachodu słońca pracować będziemy na polu, bo to jest konieczność fizyczna, której my ulegać musimy.

I to także plotka, że dwór ze służącymi żyje jak pies z kotem, a owo policzkowanie...—doprawdy, ludzie już dobrze wychowani, nietylko tego nie robią, ale nawet o tem nie mówią.

Wypisawszy całą litanię najróżnorodniejszych, tchnących źle ukrywaną niechęcią zarzutów, autor kończy artykuł, uradowany, że „obudził myśli, zwrócił powszechną uwagę, poruszył w odpowiednim kierunku działalność rolników.“ Panie Rouba, w twoim artykule nie ma ani jednej myśli nowej dla nas, myśmy sobie to dawno „obudzili“; nie trzeba nam moralizatorów, którzy urodzili się dla nas zapóźno. Jeżeli jednak pragniesz być faktycznie użytecznym pracującym na roli współrodakom twoim, to badaj kulturę swojego czasu, uświadamiaj środki i kierunek działań społeczeństw, staraj się poznać naturę zjawisk ekonomicznych i ich rzeczywiste następstwa. Z takich tylko źródeł zaczerpnięte wskazówki przyczynić się mogą do wzrostu dobrobytu i do rozwoju gospodarstwa.

Prenumeratorka.

KRONIKA.

Doniesienia urzędowe. *Warsz. gub. wied.* zamieszczają następujący okólnik p. gubernatora warszawskiego do naczelników powiatu: „Towarzysz ministra spraw wewnętrznych, zarządzający policyą, zawiadomił JE. generał-gubernatora warszawskiego, że uznano za możliwe zniesienie zakazu, wzbraniającego obywatelce miasta Kowna, pannie Jadwidze Suzinównie, zamieszkiwania w Królestwie Polskiem.“

Sprawy społeczne. Zatwierdzono ustawy kas szpitalnych przy zakładach górniczych w Królestwie Polskiem.

— We Lwowie uwięziono dwóch handlarzy dziewcząt, którzy pod pozorem dania dobrej służby, przynęcali żywy towar i wywozili go do Stambułu lub Bombaju.

Szkoły. Ministeryum oświaty uzyskało zgodę ministeryum skarbu na wydanie 23,000 rs., potrzebnych dla przekształcenia zakładów naukowych w Królestwie Polskiem.

— Postanowiono zwinąć progimnazya i zastąpić je przez szkoły: handlową, budowlano-techniczną, ogrodniczą i warzywniczą w Warszawie; gospodarstwa rolnego w Maryampolu i Końskowoli i górniczą w gub. kieleckiej), dalej przekształcić łódzką rzemieślniczo-techniczno-przemysłową i zwiększyć do 15 liczbę istniejących w kraju szkół miejskich trzy i czteroklasowych oraz wprowadzić w nich naukę rzemiosł. (*Now. Wrem.*)

— Na kursy lekarskie dla kobiet przyjmowane będą kandydatki, posiadające świadectwa dojrzałości lub patenty z ukończonych wyższych kursów żeńskich, liczące najmniej lat 22.

Zdrowie publiczne. Departament lekarski zawiadamia, iż z powodu wygaśnięcia cholery w Galicyi, zwinięto punkty obserwacyjne na granicy Austryi w Isakowicach, Bukowie, Husiatynie i Satanowie (gub. podolskiej).

— We wsi Kruszynie (gm. Smiłowice), pow. włocławskim pojawiła się epidemia tyfusu wysypkowego.

— Instytut medycyny doświadczalnej w nr. 6827 *Now. Wrem.* zawiadamia, iż pracę nad surowicą przeciwbłonicową obecnie ukończono. Lekarze, apteka rze i instytucye rządowe lub prywatne, potrzebujące tego środka, mogą się zwracać wprost pod adresem instytutu (Aptekarski Ostrow, ul. Łopuchińska nr. 12). Każdy flakon zawiera 1,000 jednostek normalnych antytoksyny i mocą odpowiada surowicy Berynga nr. II. Przyrządzona przez instytut, jest dwóch gatunków. Cena buteleczki surowicy pierwszego (z fenolem) wraz z opakowaniem kosztuje rs. 2, drugiego rs. 3.

Wystawy i zjazdy. Władza zatwierdziła projekt urządzenia wystawy rolniczej w Kijowie r. 1897.

Koleje i komunikacye. Wytknięto linię kolejową, mającą łączyć Warszawę z Ostrołęką. Droga ta pójdzie od stacyi kol. Petersburskiej, Tłuszcz przez Niegów i Bug pod Wyszkowem, dalej przez Kunów i Goworowo. W Ostrołęce połączy się z koleją Nadnarwiańską. Gałąź ta oddana będzie pod zarząd kolei skarbowych. Roboty rozpoczną się już wkrótce na wiosnę.

— W sądzie okręgowym petersburskim odbędzie się wkrótce sprzedaż licytacyjna zbankrutowanej kolei Rysko-Tukumskiej. Cena 1,952,407 rs.

Wypadki. Z Wesel telegrafują, iż na okręcie, przeznaczonym do żeglugi na Renie, wybuchnął dynamit. Wiele osób zginęło.

— Dn. 19 b. m. w Atenach było silne trzęsienie ziemi.

Zmarli. John Stuart Blacke, pisarz szkocki, znawca literatury w Anglii; zmarł w Edynburgu. Do najcelniejszych prac jego należą zbiory pieśni szkockich i studya nad literaturą ludową. Mając lat 24, objął katedrę literatury łacińskiej w Aberdeen, następnie był profesorem uniwersytetu edynburskiego. Ur. r. 1809.

— Leontyna Halpertowa, w Warszawie; niegdyś wybitna artystka dramatyczna warszawska. Zmarła w 93 roku życia.

Odpowiedzi Redakcyi.

S. Nie jest to tłomaczenie ścisłe, ale jedyne i zwykle używane.

b. s. Niewarto ogłaszać dla tego, że obie te kwestye były znane już w starożytności. Nadto próba mnożenia łatwiej dokonywa się tym samym zresztą sposobem zapomocą 3, niż 9. Wszakże jeśli to są pomysły samodzielne młodzieńca, zdradzają zdolność matematyczną.

Marya Pietkiewiczowa

Krótkie jej istnienie było pasmem wstrząśnień moralnych, a w wątłym, wyczulonym nerwowo organizmie silny duch przebywał. Rwał się on i szedł przebojem, nie po ścieżkach utartych. Przejęty pierwiastkami dobra powszechnego, chciał je tchnąć w życie, rozpalić z nich światło. Może jej serce silniej kołatało, a ogień pragnień niegoistycznych mocniej gorzał w umyśle, niż na to pozwalają prawa fizyczne. Więc pękło to słabe, poszarpane życie, tam, gdzie bezwładna medycyna zaleca skrywać się przed śmiercią skazanym na nią: w Meranie d. 10 marca. Zgasła z bólem serdecznym przybiła swego towarzysza, Zygmunta Pietkiewicza.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 10 Марта 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.